Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 5. Grudnia 1880 r. **Tom XI.**

TYGODNIK POLSKI

Nr. 49.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

SŁÓWKO... I JUŻ W SYBIRZE.

OBRAZEK

skreślił

F. STARCZAK.

Ziemski sprawnik za Niemnem i Bugiem... urząd ten sam, co naczelnika powiatu w Królestwie, z maluczką co do atrybucyj ich zmianą. Różnica ta, że w krajach zabranych tak zwana część gospodarcza powiatu i rozkład powinności ziemskich odpadają na rzecz marszałka powiatowego, aby p. sprawnika uczynić tem swobodniejszym w zakresie policyjnego czuwania.

Swiat ucywilizowany nic nie wie o ludziach tego stanowiska, a chociaż piszą o nich i mówią, za przesadę jednak to poczytuje.

W Rosji właściwej figurant ten powiatowy — to uniżony sługa dostojników, mających na wsi swe posiadłości, lecz w Petersburgu lub Moskwie urzędujących. Każdy od »wielkiego ołtarza«, albo »ma plecy« za sobą, więc trudno tutaj inaczej.

Zajeżdża (w cesarstwie) p. sprawnik do dworu... kwatera u rządcy.

Ma się przedstawić panu, więc w mundurze galowym idzie na pokoje, ze szpadą u boku, w kapeluszu stosowanym na głowie... idzie i meldować się każe, oczekując tymczasem w przedsionku.

Lokaj wychodzi z pokoju pana i mówi:

— Barin (pan) prosił.

Wchodzi... i staje jak trzcina wyprostowany w progu.

— Da szto wy?... taka pokora zbyteczna... prosimy dalej.

— Służba, jw. panie!... służba! Każdy wiedzieć powinien, jakie i gdzie służą mu prawa. Jestem w domu obywatela... pamiętam o tem.

Petersburski dygnitarz, ujęty taką uniżonością, nie umie dobrać słów na pochwałę sprawnika, wszystkich sprawników razem. Prosił go o protekcję, o przeniesienie na służbę gdzieindziej i na lepszą posadę — chodzi więc, depce kolegom po piętach i proteguje. Wyprotegował translokację na taki sam urząd do gubernij polskich.

Tam... inna pensja, powaga, prerogatywy służbowe, a głównie... ceremonij żadnych, więc można sobie pozwolić.

Niechże dojdzie do Petersburga skarga na tego samego sprawnika, który się w Rosji kłaniał, u nas zaś został odrazu oprawcą... nie wierzą temu. Protektor znów biega, prosi, przedkłada.

— Zmiłujcie się — mówi — człowiek obarczony rodziną! Znam go osobiście... nie może być. Grzeczny, uprzejmy... a pokora jaka... do zbytku! To tylko ta *polska intryga*. Jaki to naród przewrotny... jaki to naród!

Więc ostatecznie skarga niesłuszna... »fałsz« i »intryga«.

To też za Niemnem i Bugiem widzimy, że ten sam urząd — a co innego zupełnie. Za czasów Mikołaja trząsł sprawnik u nas żydowską kieszenią, był postrachem wiecznie przed nim zalęknionego chłopa, panem życia i śmierci dla szlachty i wszystkich tych, kto się mienił Polakiem. Na gardło nie wydawał wyroków i nie wysyłał na Sybir, ale denuncjował, oskarżał i w sprawozdaniach notą *podejrzanego* odznaczał, każdego kto się z miny albo ze zdania mu nie podobał, a wreszcie — kto pragnął być od takiego p. sprawnika zdaleka.

Komu przypiął taką łatkę, niełatwo mu było odpiąć potem. Za to tysiącami ruble sypano, pękały nawet całe majątki, bo niekorzystna opinja sprawnika, to przy lada okazji paszport za Ural.

Nie kijem, to pałką: sam nie skazywał na wywiezienie, ale miał na to sposoby — decydujące.

Pamiętam, w r. 1845 na sprawnika do Dzisny jechał p. radca dworu, Wasilij Zacharjewicz Bogusławski. Nazwisko polskie i snadź polska z pochodzenia rodzina, lecz Wasilij nie wiedział o tem i nie chciał wiedzieć. Jechał do powiatu najspokojniejszego pod słońcem, ale w Rosji jeszcze mu nagadano, że się udaje w strony zarażone »buntem«, spiskami... i że wre wieczny tam wulkan.. Wybrał się gasić te wulkaniczne wybuchy. Był tydzień w Wilnie — »buntu« nie widział; przejechał Oszmianę, Wilejkę, kilka partykularnych miasteczek... spokój wzorowy. »To tak tylko, na oko — myślał drogą p. Bogusławski — przyczaili się i niewiniątka udają.«

— Jaż im dam!... nauczę, co to udawać!

Z takim programem wjeżdżał w granicę dziśnieńskiego powiatu.

Dzisna od r. 1842 należy do gubernji wileńskiej, i narodowość ludu białoruska w powiecie. Za czasów polskich powiat wchodził do składu województwa połockiego, a dawniej, przed wieki, był częścią księztwa udzielnego tego nazwiska.

Po drodze i już w granicach władztwa sobie przeznaczonego, pragnął poznać inteligencję tutejszą, zatrzymał się przeto dzień jeden w miasteczku Głębokiem, ludnem, ruchawem, ale... widział tu samo żydowstwo. Widział także aż dwa katolickie kościoły i dwie żydowskie bożnice... a cerkwi żadnej.

— Co to jest? — zapytał miejscowego asesora — czemu tu cerkwi nie ma?

— Bo nie ma i prawosławnych — odpowiedział asesor — sami katolicy w mieście i naokoło.

— Jakto? cesarstwo rosyjskie... i prawosławnych nie ma? A pan czego tu siedzisz, jak malowany? Żałuję!... ale nam się rozstać wypadnie. Ja potrzebuję asesorów czynnych, zabiegłych. *)

Chodził po pokoju niezadowolony, zirytowany.

— Będzie i cerkiew i prawosławni... bo muszą być. A kogożeście w powiecie z unji nawracali?

— To głównie po wsiach, a ostatnie nawrócenie było w Leonpolu pod Drują. Długo się opierali włościanie, komisje zjeżdżały jedna po drugiej... i nic. Tak kilka lat upłynęło. Sprowadzono w końcu wojsko do Leonpola, a z Wilna przyjechał gubernator i sam Siemaszko nawet. Zwołano włościan, otoczono... walaj... i wszyscy nawrócenie przyjęli, a upartych zesłano.

— Tak i powinno być... tak!

— Ja wtedy byłem tam asesorem... i przy mnie to było.

— Pan?... A to co innego... ja pana przepraszam. Trzeba tak samo postarać się i tutaj. Unjatów tu nie ma... ależ rząd każdemu nawróconemu daje 30 rubli, więc jest i wyjście, a wypadnie coś tam dorzucić; ja się postaram o to. Katolik czy żyd, wszystko nam jedno... a niepodobna, żeby nagroda nikogo nie zachęciła. Staraj się pan... ja nie zapomnę i o was.

Konie asesorskie już od godziny stały przed gankiem dla p. sprawnika. Miał rano wyjechać, ale oto południe minęło — on jeszcze tutaj. Nic dziwnego, pragnie »wiernie« i »użytecznie« służyć carowi i Bogu — więc trzebaż dać podwładnemu wskazówki — instrukcję zostawić.

— A pan... katolik, czy prawosławny?

— Prawosławny — odpowiedział asesor. To też mój jeden dom... i my do Berezwecza *) na nabożeństwo jeździmy — wszystkiego trzy wiorsty ztąd. Tam cerkiew prawosławna i klasztor... po Bazyljanach. Były i szkoły, przez zakonników unickich utrzymywane, bo to klasztor bogaty... a cerkiew jaka!... ale szkół nie ma u nas w całym powiecie.

— To znaczy, że tych Bazyljanów wygnali... co?

— Nie: jednych wywieziono na Sybir, bo byli »zatwardziali«, a inni... koza przełamała opór... więc prawosławie przyjęli. Przyjął i przełożony ich Szelepin... teraz za to archimandrytą.

— Ot, widzisz pan... są na wszystko sposoby! Niech pan starania dołoży, żebyśmy byli w zgodzie z sobą... i żeby się przed władzą wyższą nie wstydzić, a przed Bogiem mieć czyste sumienie.

W kwadrans potem siedział już p. sprawnik w assesorskim kabriolecie, zaprzężonym w cztery rącze mierzyny i pędził traktem do Dzisny, rozmyślając o »spokojnem sumieniu« przed Bogiem... za trzydzieście rubli nagrody dla sprawosławnionych katolików lub żydów. Furman miał go odwieść do najbliższej stacji pocztowej. Mijał wsie i widział dwory zdaleka, lecz zbaczać nie chciał, a pragnął koniecznie i co rychlej poznać *pomieszczyków* (obywateli).

*) Asesor —komisarz obwodowy w powiecie: powiat dzieli się zwykle na 3 do 6 obwodów, stosownie do rozległości i zaludnienia. Sprawnik dla asesorów jest głową.

*) Berezwecz — małe, ale schludne miasteczko i bazyljański klasztor przez wieki, dzisiaj już prawosławny. Była tu sześcioklasowa szkoła, przez ojców bazyljanów utrzymywana, a druga taka sama szkoła ks. pijarów — w Łużkach — mil pięć ztąd. Obie zamkięto.

— Czy będziemy mieli po drodze — zapytał furmana — jaki dwór większy... ale większy — rozumiesz?

— Za Zaborzem (stacja pocztowa) będzie największy dwór w Łużkach... na samym trakcie.

Zmienił w Zaborzu konie i jechał dalej. Dobrze przed zachodem spostrzegł o wiorstę pałac murowany i park, dowiedział się od pocztarka, że to są Łużki — kazał więc przed pałac zajechać.

Dobra te dawniej należały do hrabiów Platerów, **) potem sprzedano je hr. Czapskiej. Nowy pan sprawnik stanął przed pałacem, ale pałac był otwierany jedynie na przyjęcie hr. Czapskiej, która stałą rezydencję miała w jednym z dalszych swoich majątków. Podwoje nie zostały dla p. Bogusławskiego otwarte i wskazano mu w oficynie lokal, przeznaczony na przyjęcie urzędników i wszelkich innych gości, wstępujących do Łużek w nieobecności pani.

Sprawnik był urażony.

Miał on zwyczaj podróże odbywać w szlafroku. W Głębokiem, po odwiedzinach u assesora, zrzucił frak mundurowy i do szlafroka wlazł wedle zwyczaju. Tak jechał i tak też stanął tutaj. Na ganku spotkał go *ktoś*, uznał więc za właściwe zapytać się: »wy kto?« — »Tutejszy rządca«, była odpowiedź. Tylko »rządca«, więc pan sprawnik nie widział potrzeby rekomendować się, ani przebierać, i jak był odziany, wszedł do pokoju w szlafroku, polegając na tem, że czapka z opaską czerwoną i gwiazdka na opasce same go rekomendują już dostatecznie.

Pokój gościnny przylegał do mieszkania rządcy, drzwi były otwarte i gdy gość rozsiadł się w fotelu w szlafroku, małżonka rządcy kazała lokajowi drzwi zamknąć.

Nowa to dla pana sprawnika obraza.

— Tam, za drzwiami — zapytał rządcę — kto u was mieszka?

— To moje mieszkanie — była odpowiedź.

— A ta pani — kto?

— Moja żona.

— Da!

Pan sprawnik żałował, że robiąc zapytanie, powiedział »ta *pani*«, należało zapytać się »kto ta *kobieta*«. Dla »rządczyni« to wystarczało. Nie kontent z tej mimowolnej omyłki, począł bębnić palcami po stole, z ukosa na rządcę spoglądał... i milczał.

— Czaj (herbata) u was jest? — zapytał po chwili.

— Natychmiast będzie — odpowiedział rządca — wyszedł i kazał samowar nastawiać.

**) Rodziców Cezarego i Władysława, którzy w r. 1831 na emigrację wyszli. Matka sprzedała Łużki dla wyposażenia synów za granicę.

W kwadrans potem p. sprawnik miał już nakryty stół przed kanapą, na tacy wódkę, przekąski — i czaj.

Próbował rządca zagadywać tego dziwnego w szlafroku gościa, ale się nie dowiedział nic, kogo ma »zaszczyt« przyjmować. Gość oglądał się po ścianach, przypatrywał rozwieszonym krajobrazom... lecz milczał uparcie. Rozmowa nie kleiła się dla tego, raz, że rządca był tylko »*rządcą*«, a potem, że po rosyjsku nie umiał. Próbował w tym języku wykrztusić kilka wyrazów, lecz mu się to nie udało, powracał więc do polskiego. Sprawnik spoglądał krzywo, sluchał i pił herbatę, ale mało co odpowiadał i przekąsek nie tknął, bo zastawa na tacy w oczach jego tak wyglądała, jak gdyby rządca uważał go za swego gościa. Co więcej — rządca śmiał usiąść w fotelu po drugiej stronie stołu. Za wiele poufałości!

P. Wasilij Bogusławski był dumny z tego powodu, że kolegował przed paru laty w jakimś komitecie agronomicznym, (w Penzie) z gubernatorem wileńskim Zerebcowym, który mu teraz wyrobił posadę sprawnika w Dziśnie, a co więcej, udział w tym komitecie poczytywał za przyznanie sobie prawa do »*uczonego* stopnia«. On, kolega gubernatora i jeszcze mąż *nauki*, ma się zadawać z »*rządcą*«... to kpiny chyba i uchybienie. Chciał tu widzieć kogoś z inteligencji, a trafia na »oficjalistę« tymczasem.

— Ja tu nocować będę — powiedział po wypiciu herbaty. Proszę odprawić pocztarka, a rzeczy moje znieść...

Tam do licha! Nowy kłopot dla rządcy, jak bawić tego zagadkowego gościa przez cały wieczór, a wieczór długi, bo jakoś było to w jesieni. Rada w radę z małżonką i uradzili nasadzić na gościa miejscowego doktora. Dawnym zwyczajem utrzymywano tu nadwornego lekarza, który obsługiwał dwór, folwarki, wsie i miał w dodatku szeroką praktykę w okolicy. Był nim wtedy dr. Juljan Jaroszewicz, człowiek światły, prawy i szanowany powszechnie. Ten dobrze mówi po rosyjsku, gładki, czasami ucinkowy i lekko traktuje ludzi z gwiadkami u czapek, ale... zabawić potrafi i dopyta się przecie, kto to i co go sprowadziło do Łużek. Gościowi dano tymczasem godzinę folgi, żeby się wysapał i przypuszczali, że wylezie z szlafroka, mając zniesione do przedpokoju swe rzeczy. Lokaj stał na rozkazy.

Gdy świece podano, rządca z doktorem weszli do gościa. Zastali go jeszcze w szlafroku. To już przestało irytować rządcę i jego małżonkę za drzwiami, bo się stawało co raz to więcej śmiesznem.

— Zdziesznij (tutejszy) doktor — powiedział wchodząc p. Jaroszewicz. Kogoż mamy przyjemność przyjmować?

— A!... doktor? — odpowiedział przez zapytanie gość, podnosząc się z fotelu i rzucając drugie zapytanie... »uczonyj?«

— No, niby tak... byłem w uniwersytecie, mam stopień... i prawdopodobnie

do uczeńszych należę, niż jakiś tam nieuk lub gbur.

Nieznajomy przełknął tę niespodzianie rzuconą sobie pigułkę.

Rozmowa rozpoczęła się i była prowadzoną w języku rosyjskim, którym elegancko p. Jaroszewicz władał, lubo zaś w słowach i zachowaniu się swojem okazał, że ceremonji z gościem nie robi; nie urażał się jednak Wasilij o to. Jaką piastuje godność... o tem i tym razem przemilczał.

Gdy rozmowa dotknęła już wielu przedmiotów — a mówiono o Wilnie, o Petersburgu, Moskwie i o penzeńskim komitecie agronomicznym, z nieodstępnym przymiotnikiem »uczonyj«, gość Jaroszewicza zapytał:

— Skażytie (powiedźcie)... co to za lud tutejszy, ten prosty... chłopi? Mówią tak jakoś, że niby zacina z rosyjska, ale nie po rosyjsku — kaleczą tylko. Ja nie rozumiem ich wcale.

— Bo też to nie Rosjanie, lecz Białorusy.

— Jak to... Białorusy — mówicie — ale nie Rosjanie?

— A tak. Białoruś co innego zupełnie, a raczej dawne księztwo Połockie. Nawet nie umiem zdać sobie sprawy, zkąd się wzięła ta nazwa dzisiejsza kraju. Księstwo Połockie tylko skutkiem rozbioru Polski, dostało się na dział rosyjski, przedtem zaś, nawet za czasów swej udzielności, nigdy do Rosji nie należało i nic z nią nie miało wspólnego.

Sprawnik zrobił wielkie oczy i począł bębnić palcami po stole, co było oznaką złego humoru.

— Da kakże nie należało? — dał po chwili odpowiedź. — Ruryk jeszcze tu swoje rządy sprawował, a potem Włodzimierz, następcy jego... aż za Iwana Groźnego dopiero to odpadło przez wojnę do *byłwszej* Polszy.

Z kolei doktor teraz wstał zdziwiony tą nieświadomością »uczonego«, czy też rozmyślnem może ale nie trafnem fałszowaniem faktów dziejowych.

— Pan się mylisz nieco—powiedział.— Ruryk tu nigdy nie był, nie rządził i kroniki najstarsze nic o tem nie wiedzą. Księstwo Połockie było zagarnięte przez najście podstępne Włodzimierza. On z Waregami tu wpadł, opanował drewniany zamek w Połocku — nie wielka sztuka — porwał córkę panującego, księżniczkę Rogniedę i miał z nią syna Izasława. Po zejściu Włodzimierza, ten Izasław objął księstwo Połockie, jako swój naturalny po matce spadek... i Połoczczyzna żadnego stosunku z Rosją nie miała, były tylko najścia chwilowe. Od Batorego u nas, a od Iwana Groźnego u was i to ustało. Po pierwszym dopiero rozbiorze Polski część dawnego księstwa do Rosji odpadła. Całego panowania russo-waregów było 30 lat.

Sprawnik siedział w fotelu czerwony jak burak.

—Nu, a więcej nic wy nie wiecie o tej Połoczczyźnie tutejszej?

— I owszem... wiem i więcej, bo w tym roku dopiero skończyło się tu nawracanie unitów na prawosławną wiarę... znam i inne przejścia dziejowe, szczegóły mam po nich zebrane... ale to już nie dotyczy sporu naszego.

— To pan nie wiele wiesz — ja więcej. Przeciw pańskim faktom, ja moje spróbuję postawić... sądzę, że skuteczniejsze będą. Dziś nie mam na to dość czasu: za jakie dwa tygodnie, może za trzy, rozmówimy się obszerniej.

Przy tych słowach rzucał na Jaroszewicza zjadliwe spojrzenia.

— I owszem — odpowiedział doktor. Ja w każdej chwili jestem gotów służyć panu faktami.

— Da!... i ja także postaram się o to — i znowu bębnił.

Na próżno dalej zaczepiał go doktor — odpowiadał *tak* albo *nie*, ale się nie wdawał w rozmowę.

Nakryto do wieczerzy i zastawiono półmiski. Raczył jeść, milczał, a spoglądając na doktora z ukosa, kręcił głową i widocznie coś medytował. Kiedy wstali od stołu, gość jeszcze raz, ale już ostatni przemówił:

— Spać chcę... proszczajtie (żegnam)... ja nowy sprawnik dziśnieński, a moja *familia* (nazwisko) Bogusławski.

— Bardzo nam przyjemnie dowiedzieć się o tem — odpowiedzieli doktor i rządca. Dobrej nocy panu sprawnikowi życzymy.

Nazajutz rano na żądanie p. sprawnika stał przed gankiem powóz na resorach, w cztery konie dworskie zaprzężony.

Odjechał.

W trzy tygodnie po tej wizycie i rozmowie o Połoczczyźnie, doktor Jaroszewicz był w drodze do Wilna i miał za towarzyszy... żandarmów.

Osadzono go w klasztorze po-dominikańskim, zamienionym na polityczne więzienie.

Za co go porwano i uwięziono?

Rzecz bardzo naturalna i zwykła w owe czasy: P. Bogusławski uznał za właściwe całą rozmowę swoją z Jaroszewiczem powtórzyć w urzędowym raporcie do gubernatora Żerebcowa, z dodatkiem »*wieśma niebłahonadieżnyj i wrednyj*« (bardzo niepewny i szkodliwy). To wystarczało.

W kilka miesięcy po zaaresztowaniu Jaroszewicza, rozpoczęły się pościgi za spiskowymi (1846 r.), z tytułu ujęcia emisarjusza Jana Roehra przez sprawnika Trusowa w Grodzieńskiem, a następnie ujęcia wspólników jego Hofmeistra i Bogusławskiego, oraz doktora Regniera w Wilnie. W powiecie dziśnieńskim aresztowano obywateli Wazgirda i Kwintę.

Zarzut uformowano przeciw Jaroszewiczowi, że także *musiał* należeć do spisku, a chociaż żadnych dowodów kompromitujących nie wyszperano, nie było nawet poszlaków i nikt na niego nie wskazał, został jednak zesłany.

Taka była potęga sprawników i tyle opinja ich mogła!

Mają pp. Rosjanie otwarte dla siebie archiwa rządowe. P. Bergowi, jako publicyście, szperającemu głównie w aktach po dawnych komisjach śledczych, łatwo będzie fakt co do Jaroszewicza sprawdzić. Niechaj poszuka, a znajdzie przeciw niemu jako jedyne obwinienie — raport do gubernatora Żerebcowa od sprawnika Bogusławskiego... i to nowomianowanego wtedy, który nikogo jeszcze nie znał w powiecie, a więc i o Jaroszewiczu składał raport według grymasu i tej niechęci, jaką powziął przeciwko niemu z rozmowy, lecz nie miał żadnego zgoła dowodu, żeby tenże Jaroszewicz spiskował, lub szerzył wpływy niechęci przeciw rządowych. Nie mógł mieć dobrego przekonania do rządu — racja, ależ ta wina obciążała nie jego jednego, lecz wszystkich ludzi w powiecie, gubernii i całym kraju. Jeżeli taka racja była wystarczającą, to jednocześnie cały ogół polski chyba należało zabrać, uwięzić i przez żandarmów wysłać na Sybir: albo ogół... albo nikogo.

I sprawnika Bogusławskiego obwiniać trudno. Taki był system: rząd domagał się tego, szukał niechęci, tworzył je sam, żeby następnie brać, więzić, wysyłać... i tak się to obracało w kółko, tak się obraca to koło dotąd. Wśród takich to warunków narodowego bytu, żądają od nas »braterstwa« i »zgody«...

Z tytułu władzy sprawnika, każdy był dla niego z uniżoną grzecznością i kłaniał się z daleka, a uprzedzając przyczepki, dawał roczne temu personatowi wykupy. On i asesor (stanowyj-prystaw) mieli prawo za Mikołaja sami jedni jeździć w powiecie z dzwonkiem i używali tego prawa w zimie i w lecie — prywatny nikt. Skoro dzwonek zabrzęczał, żyd bladł, bo tu szło o kieszeń jego, a chłopi z ulicy we wsi rozbiegali się po domach, bo jedno słowo— sprawnik albo asesor — przerażało wszystkich zarówno. Sprawnik tyle znaczył dla chłopa i żyda, co rózgi, więzienie, knut. Nie życzysz sobie tego... a więc otwieraj kaletę, skrzynię — gotówka na stół.

Mieliśmy i ludzi porządnych, nawet zacnych na tych urzędach... ale to ludzie swoi. I swoi zresztą zarażali się od nasłańców rosyjskich, lecz było dość takich, którzy o opinję dbali... ta na nich wpływ wywierała. Przeciw nasłańcom albo zdziczeniu swoich kraj żadnej nie miał obrony, bo w razie zażalenia, ci panowie mieli zawsze gotowe polityczne zarzuty. Mówił »to«, słyszałem »to»... prościutka droga za Ural.

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

SZTUKA NADREŃSKA.

(Dokończenie).

W Paryżu, w *salon carré* siedzi chora kobieta na krześle, klęczą przy niej płacząc krewni, a lekarz ogląda jakieś przyrządy. Zdaje się że tu się operacja odbyła. Rzecz pospolita,

*

niepiękna nawet. Ale malowanie cudne, a widać po rodzinie chorej, że ją tam naprawdę kochają. I to dobrze, bo jest tak mało niekłamanej miłości na świecie.

Netscher był wybredniejszym, bardziej niby estetycznym, bardziej salonowym. Najlepiej go widzieć można w Dreźnie. Tam elegancki panicz z damą wielkiego świata, grają na flecie i gitarze, przy otwartem oknie, wśród kwiatów. A na drugim obrazku pisze na poddaszu wychudły poeta. Pierwszy to artysta co artystami zabawiał publiczność, pierwszy co chciał, aby ci którzy miłują najdelikatniejsze kwiaty ducha, wyglądali nędznie i słabowicie, jakby oderwane od ciała, mdłe postacie świętych Gwida Reniego.

Dow i Netscher, to już ludzie całkiem nowożytni. Są to malarze, powieściopisarze, którzy przyszli po mistykach i historykach, filozofach i dramaturgach. Dow to Dickens, Netscher to Bulwer malarstwa. Ale czem jest Rembrant? Tamci to pierwsi może nowożytni ludzie, wraz z tak różnymi od nich a jednak także tak nowożytnymi Hiszpanami. A bodaj czy Rembrant nie „ostatni“.

On wierzył jeszcze w cuda sztuki, i czasem tworzył cuda owe równie dobrze jak Leonardo i Rubens Tycjan i Corregio. Ale tylko czasem. Bo najczęściej protestantyzm i mieszczaństwo, i nowożytne zwycięstwo prywatnego życia, zwyciężały wrodzony średniowieczny jeszcze genjusz Rembranta i kierowały tym genjuszem na niewłaściwe dlań tory.

Więc nie wszędzie znajdziesz jednakowe rzeczy po Rembrancie. Najlepsze może wybrał wielki znawca średniowiecznego malarstwa król Polski August II. i przystroił niemi ściany ulubionej swojej przybocznej galerji w Dreźnie. Powiadam, że to rzeczy przecudne, powiadam, że w nich tętni jeszcze stary duch malarstwa, a jednak one powiedzą nam wiele o duchu czasów nowszych.

Wejdziemy od razu do domu Rembranta i zastaniemy go przy biesiadzie. Siedzi przy stole z żoną na kolanach, i śmieje się do nas. Na głowie ma kapelusz z pióropuszem, na szyi kołnierz koronkowy, i strój cały bogaty, wspaniały, barwny, strój dawny wenecki co światło słoneczne chwyta i łamie, strój niewidziany już u innych potulnych Holendrów. Żona także w sukni czerwonej, płonącej od słońca z perłami na szyi, śmieje się do ciebie oglądając się w tył. Oczy jej jaśnieją światłem czarodziejskiem, zęby się świecą z po za koralowych ust, a w ręku męża pieni się kieliszek szampana, złoty jak samo słońce. Na stole na białym obrusie roztacza paw pieczony migotliwe pierze.

A jeszcze cudowniejszy, i o wiele bardziej domowy obraz, drugi w tej samej sali. Tu stoi sama jedna żona Rembrantowa *Saskia* w ciemnym zwyczajnym pokoju, w zwyczajnym codziennym stroju z gwoździkiem w ręku. Nie ma przy niej brzydkiego męża, nie ma brzękotu uczty. Stoi przy tobie gosposia, dobry duch domu, kobieta o dużych rękach a wcale nie bogini. Z okna padło na nią słońce, gors na pół obnażony. Koronkowa chusteczka z lekka przysłania suknię, a z oczu i z ust bije i jaśnieje przedziwne wesele dobrej kobiety, tej co męża cieszy przy ognisku.

To ideał tego czem być winno malarstwo świeckie domowe, nowożytne. Skromne to, a jaśnieje blaskiem niewidzianym, zaczarowane to, choć powszednie. Wieleż jest pięknych Saskii na świecie, i jakież by piękne były przy mężu, albo przy dziecku, albo jak to tu, same, opromienione słońcem i pokojem duszy. Żona ta, to niby Madonna protestantyzmu i obraz przecudny. Nowożytne obrazy mogłyby być tem czem są, mogłyby oddawać życie tylko, a być arcydziełami. Ale niechaj malarze wezmą u starych to co Rembrant przechował, pokój, i staranne malowanie. Tu nie masz tanich jaskrawych efektów; tu niczem nieprzekupiony widz. Jest światło prawdziwe, i życie prawdziwe — i obraz tak piękny jak światło i życie.

Tu masz portrety tylko. W Treppenhuizie Amsterdamskim masz także portrety, ale portrety zbiorowe. Zwano obrazy takie, jak Syndyki sukienników, i jak Straż nocna—Doelen Bieldami, i chciano aby one zastąpiły w Holandji to, czem było wielkie religijne malarstwo w krajach katolickich. Wzięto cel za środek, i wiedząc o tem, że w wielkiem malarstwie, trzeba pokonywać wielkie trudności, chciano pokonując trudności owe, odnowić wielkie malarstwo. Chciano tworzyć zwyczajne postacie ludzkie naturalnej wielkości i grupować je umiejętnie na wielkiem płótnie; i malowano Doelenbieldy. Malowali je Borenstyn i Mierevelt, Karol van de Garden, i Flinck, malowali Van de Helst, i Franz Hals, malowali doskonale, tworzyli żywe ciało, dość piękne twarze, jaskrawe szaty i rytmiczne grupy, ale nie mówili nic. Patrzysz się na te obrazy, wiesz, że dobrze malowane, i nudzisz się śmiertelnie. Nie zarzucisz im nic, ale nie znajdziesz w nich nic. Właściwą brzydotę usunięto, ale ta przystojność wszystkich twarzy nudna i pospolita. Nie masz greckiego rytmu nagich ciał i fałdzistych szat, nie masz weneckiej muzyki barw, nie masz Florentyńskiej myśli ni Flamanckiego uczucia. Nic tu nie masz prócz techniki, i patrząc na te ogromne Doelenbieldy doznajesz owego uczucia nudy, znanego ci z całodziennej jazdy przez płaszczyznę jakąś, po doskonałym bitym gościńcu, w dzień pogodny.

I to samo trzeba powiedzieć o owym obrazie, gdzie kilka grubych sukienników siadło przy czerwonem płótnie. Rembrant malując dobrze portrety owe czuł, że maluje nudnie — więc gdy mu znowu przyszło malować Doelenbield, gdy mu kazano wymalować straż nocną, postanowił puścić race barwy, fantastycznie ludzi ugrupować, i tak dokazać tego cudu by ci nawet mieszczuchy mogli widza zająć.

Czy dopiął swego? nie wiem. Wiem, że musiał poszukać sztucznych i nienaturalnych efektów, efektów co nie tkwią w naturze obrazu, a lgnąc tylko do powierzchni, zwą się technicznie taniemi.

Nie wiedzieć dla czego porusza się ta grupa w pociemku i nie wiedzieć jakim sposobem sama jaskrawo oświecona. Wygląda to tak jakby obraz w latarni magicznej; wszystkie barwy gorączkowo się świecą i ośmiewają cię. Pióropusze krzyczą gwałtu, gesta są gorączkowe i chaotyczne, cienie i światła przecudne i jakiś karzełek i jakaś rusałka wkradli się między mieszczan— i sam nie wiesz o co chodzi. Kontrast światła i cieniu, przeźroczystość obrazu i jasność barw ośmiewają cię zrazu, a będziesz je podziwiał ilekroć do obrazu powrócisz. Ale rozum twój będzie zawsze niezadowolniony; uczucie zawsze będzie się odwracać od tego pompatycznego anonsu, od tej hałaśliwej reklamy, poza którą nie ma nic. Barwy krzyczą: „gwałtu! patrz się“, i płótno przed tobą ogromne, a ty się patrzysz i patrzysz, a nic nie dostrzegasz zrozumiałego, nic na co by się było warto patrzyć; odwrócisz się wreszcie i ruszysz ramionami.

Pierwej w życiu usiłował już Rembrant w inny sposób urozmaicić inny Doelenbield. Nie za pomocą świateł, cieniów, barw i fantastycznego nastroju chciał zwrócić uwagę na obraz, jedno za pomocą wlania myśli jakiejś w obraz. I tak stworzył sławną lekcją anatomji w Hadze. W tym obrazie nie ma czarów, nie ma rozmaitości barw, bo wszyscy czarno poubierani, nie ma walki światła z cieniem, ale jest scena naukowa. Zielony trup leży na stole, kilku brodatych doktorów przypatruje się trupowi, jeden gdzieś wynosi jakieś papiery, a jeden stojąc wykłada. Włożył instrument między żyły martwego ramienia i mówi, widocznie cały zajęty swoim wykładem. Tamci słuchają uważnie, choć ich sąsiedztwo trupa niepokoi. Tu jak u alchemika Dowa chęć wiedzy przezwyciężyła obawę śmierci i grozę nieznajomych tajemnic natury. Ale zdaje nam się, że to obraz mniej szczęśliwy. Tam światła dodawały czaru, samotność i noc grozy, a obraz był tak mały, że nie było w nim nic odrażającego. Tu nic oka nie bawi, a te portrety ludzi nieznajomych i pospolitych, zatykający sobie nos w klinice, niszczą marzenia fantastyczne, niszczą wielkość tytanicznej walki z siłami przyrody i przenoszą nas w świat powszedni a niemiły. Zresztą wielki ów zielony trup budzi obrzydzenie.

Jest w Hadze jeszcze drugi obrazek Rembranta, malenki a świecący jak kaganek wśród ciemności. Mam na myśli ofiarowanie Chrystusa w świątyni, obraz religijny, malowany przez Rembranta. Jest tu i Matka Boska, jest Józef i arcykapłan i stara proroczyni, jest i niemowlę boskie, ale na to wszystko nie uważasz. Chodzi przedewszystkiem, chodzi jedynie o światło.

W tem protestanckiem malarstwie służyły sceny biblijne tylko za pozór. Ester w Dreźnie przyjmuje gości. Dla czego to ma być Ester, nikt tego nie wie. Królowa Elf skandynawskich z rozpuszczonym włosem siedzi wśród biesiady, oblana słońcem, a goście, to średniowieczni niemcy, którzy się całują pogrążeni w cieniu. Obok jeszcze jest jakiś obraz duży, niby biblijny, a malowany pysznie. Nie zgadniesz tego co przedstawia. Król i królewna z północnej bajki klęczą w szatach jaskrawych przy ognisku w lesie, a *Erlkönig* przelatuje pośród drzew w postaci Göthowskiego upioru.

V.

Studja to tylko pisałem; niech im tedy będzie przebaczonem, że nie wyczerpują przedmiotu i że każdy z nich niby osobną całość tworzy; niech im czytelnik daruje, że nie ma w nich mowy o sztuce hiszpańskiej i katedrach Zachodniej Europy. Cel, któryśmy sobie zakreślili w pierwszym studjum może dopięty i może będzie można teraz skreślić w krótkości system pojęć estetycznych w ogóle, a w szczególe system estetyki oka, oparty nie na rezonowaniach a priori, jedno na nagromadzonem doświadczeniu.

Podoba się w ogóle to, co człowieka wzmaga i potęguje. Sąd estetyczny powstaje nadzwyczaj szybko, i mimowoli, zapomocą nieświadomego stwierdzenia, że to piękne dla tego, że budzi współczucie, wywołuje grozę, albo podchlebia próżności.

Najpotężniejszemi są te uczucia, które potęgują człowieka, łącząc go z innemi istotami, a przedewszystkiem z istotami wyższemi. Najsłabszemi i najłatwiej wywołującemi niesmak te, które rodzą samolubne zadowolenie z wyższości.

Najsilniejszemi są wrażenia wywołane bezpośrednio. Istnieją jednak estetyczne wzruszenia innej natury. Nie to tylko nazwiemy pięknem, co jest pięknem samo przez się, ale to co nam w sposób zrozumiały i koniecznie przypomina coś pięknego. Piękno tego drugiego rodzaju bywa zrozumiałem tylko dla tych, których umysł został odpowiednio przygotowanym.

Że owo połączenie się z drugą istotą, które rodzi poczucie piękna zrodzone przez współczucie, a nie można współczuwać z widoczną ułudą; że dalej sztuka w ogóle zależy na tem, że się tworzy rzeczy mające pozór innych rzeczywistych pięknych rzeczy, więc jest rzeczą naturalną, że wtedy tylko dzieło sztuki jest pięknem, gdy budzi złudzenie. Silne złudzenie w sztukach rysujących zdobywa się tylko za pomocą doskonałej techniki i bywa przeto rzadkiem. Ludzie, którzy się z zamiłowaniem zajmują przedmiotami sztuki, nabywają pod tym względem wzrok wprawny i drażliwy. Wymagają daleko wyższego złudzenia od ogółu, rozpoznają każdą najdrobniejszą zaletę techniczną i popadają często w to, że wartość dzieła sztuki cenią podług wartości technicznej tylko, podług wykonania. Dobre wykonanie jedyną często zaletą rzymskich posągów i holenderskich obrazów.

Nieznawcy wyda się pięknym źle malowany obraz przedstawiający piękny przedmiot; znawca będzie się zachwycał brzydkim obrazem byle był dobrze malowany. Nieznawca cieszy się naiwnie szlachetnym celem, niezdając sobie sprawy z tego, że środki obrane nie są wystarczające. Gdy więcej podobnych obrazów zobaczy pozna, że lepiej malowane są piękniejsze od takich samych malowanych źle. Gdy zobaczy ich bardzo wiele, może przywyknie do tego, że tylko będzie baczył na środki a o celu zapomni.

Od znawcy różni się człowiek estetycznie wykształcony. Ten stanie się wrażliwszym na piękno i na brzydotę. Potrafi ocenić piękność ukrytą, niewidoczną dla ogółu, ale dozna przykrego wrażenia tam, gdzie będzie błąd wcale ukryty. Ztąd to pójdzie, że będzie wymagał i pięknego przedmiotu i pięknego wykonania. Ztąd pochodzi często niezgoda między nim a ogółem. On będzie się zachwycał tam, gdzie ogół zostanie obojętnym, a odwróci się od rzeczy ubóstwianej przez ogół. Innych zachwyca piękność krzykliwa, pojedyńcza, tanio okupiona nie jedną brzydotą; dla niego piękniejsza o wiele będzie rzecz cicha i nie skacząca w oczy, byleby nie miała wad a miała jakieś zalety. Ogół sądzi z pierwszego wejrzenia. Estetyk przypatruje się zanim wyda sąd ostateczny. Kto ma czas i ochotę przypatrywać się pilnie dziełom sztuki, ten zawsze przechyli się ku wybredniejszemu sądowi estetyka. Ale wybredność ta stanie się czasem dziwaczną i zupełnie dla ogółu niezrozumiałą. Estetyk będzie się koniecznie domagał jakichś niewidomych, ukrytych, nieodgadnionych piękności. Będzie się lubować w brzydocie, poza którą się domyśli mistycznego znaczenia.

KONIEC.

JAPONJA

przez

K. SKAŁKOWSKIEGO.

(Dokończenie.)

IV.

Jokohama; kolonja europejska. — Jankiro. — Tokjo: jego powierzchowność, poselstwo rosyjskie, misja prawosławna.— Fabryka biletów kredytowych, t. j. banknotów. Finanse, — Skarbowa fabryka papieru. — Jokoska, marynarka wojenna.

Zabudowania misji otacza ogród, z pięknym widokiem na miasto. W ogrodzie znajduje się drewniany dom, całkiem odrębny, w którym od niedawna założono szkołę dla dziewcząt. Świeżo przybyła z Rosji pani Czerkasowa uczy dziewczynki czytać, pisać i t. p., a zarazem kobiecych robótek. Jak dotąd nazbierała już 35 dziewczynek. O szkole tej, jako powstałej dopiero od kilku miesięcy, nie da się wiele powiedzieć. Rezultat w przyszłości.

W Tokjo znajdują się trzy cerkwie prawosławne, tyleż na prowincji, a domów modlitwy jeszcze więcej. Japończyków wyznania prawosławnego liczy się już kilka tysięcy. Tak przynajmniej opiewa raport oficjalny. Bo co do rzeczywistych rezultatów pracy misyjnej, to według zdania mojego, marzyć o nawróceniu Japończyków na prawosławie, jest to samo, co chcieć osuszyć morze japońskie, a zresztą i potrzeba tego nawrócenia jest tak wielka, jak naprzykład potrzeba wyuczenia kozaków po hiszpańsku. Misja zresztą może przynieść pewną korzyść, ale tylko nie pod względem religijnym; może przynieść tem, że wyuczy pewną ilość Japończyków po rosyjsku, co w pierwszej linji ułatwi stosunki handlowe z Japonją. Widzieliśmy, że marynarze rosyjscy w Jenasie spełniają również tę samą rolę co księża, ale na inny tylko sposób i o tyle gorzej, o ile gorszą jest nauka gorsząca i uboczna, od nauki w celach poważnych, propagowanej w drodze uczciwej. Propaganda do takiego stopnia nie leży w charakterze ducha rosyjskiego, że nie ma najmniejszej obawy, ażeby z powodu misji mógł kiedy wybuchnąć jaki polityczny zatarg Rosji z Japonją. Należy dodać, że na utrzymanie misji w części łoży rząd petersburski, a w części społeczeństwo rosyjskie, za pomocą dobrowolnych składek.

Pan Struve zaznajomił mię z panem Okumą, byłym ministrem finansów, którego wpływ na sprawy publiczne w Japonji dotychczas jest przeważnym, i z panem Tokuno-Rjoski, dyrektorem dróg, fabryk rządowych: pieniędzy papierowych i zwykłego papieru. Obaj ci Japończycy zacni dostarczyli mi wiele bardzo ciekawych informacyj, tyczących się stanu ekonomicznego ojczyzny swojej, a pan Tokuno-Rjoski oprócz tego z wielką uprzejmością pokazał mi oba zakłady, zostające pod jego zwierzchnictwem.

Fabryka banknotów leży w dzielnicy zwanej Okuraszo, a mieści się w całej serji murowanych zabudowań w stylu europejskim. Wszystkie najnowsze wynalazki i ulepszenia, jakie się tylko pokazały w Stanach Zjodnoczonych północnej Ameryki lub w państwach europejskich, zastosowane są już w tej fabryce do wyrobu pieniędzy. Fabryka nietylko produkuje u siebie w domu wszystko, co tylko jej potrzeba, ale zajmuje się nawet wyrobem szuwaksu, zapewne do czyszczenia europejskich butów przez mężów stanu japońskich. Posiada też naturalnie i laboratorium chemiczne, w którem bawiono nas doświadczeniami, któreby mogły wielce się przydać pensjonarkom. Już to taka moda u Japończyków, ażeby wszystkiem na prędce pożyczanem chwalić się przed cudzoziemcem, nie zaś tem, co właśnie jest u nich dobrego.

Przegląd fabryki rozpoczął się od picia herbaty, która wszędzie w Japonji jest bardzo obrzydliwą, a zakończył doskonałem śniadaniem, do którego należał i chiński ambasador.

Należy wiedzieć, że w Japonji Chiny mają dwóch posłów; jeden z nich, starszy, zajmuje się dyplomacją, a drugi jest rodzajem prokuratora nad pierwszym. Obowiązkiem tego drugiego jest pilne pisanie denuncjacyj na starszego. Podobny system panował do niedawna i w poselstwach japońskich, dokąd te nie zostały zreformowane na sposób europejski. Istniał też ten system kiedyś i w Rosji, za czasów moskiewskiego księztwa. Mój współbiesiadnik był właśnie posłem-prokuratorem. Pomimo szpiegostwa swojego, ma on, o ile zauważyć mogłem, zupełnie czyste sumienie, bo jadł za trzech.

Na fabryce znajduje się 450 robotników mężczyzn i 320 robotnic dziewic. Dla wygody robotników urządzono osobny pokój do palenia, wraz z dużą salą jadalną, utrzymywaną w nadzwyczajnej czystości. Wszędzie i zawsze dziwna u tych Japończyków czystość, a zatem nie można powiedzieć, że tak się wyelegantowali na nasze przybycie. Wszystkie robotnice — młodziutkie dziewczęta, w białych katankach z czerwonym epolecikiem na lewem ramieniu. Kostium ten bardzo do twarzy ślicznym buziakom o żywych karminowych ustach, o błyszczących czarnych włosach i oczach. Zdawało się formalnie, że człowiek znajduje się nie w jakiejś tam fabryce, ale w pensjonacie panieńskim, tak układ tych dziewcząt japońskich jest przyzwoitym i pięknym. Gdy nastała przerwa obiadowa i robotnice ruszyły na obiad, każda z nich, przechodząc przed nami, dygała przed dyrektorem — a to w sposób następujący: zginała się nizko, a ująwszy się za kolana i wysunąwszy twarzyczkę nieco naprzód, wciągała w siebie powietrze — a to z taką gracją, że nie było w tem nic trywialnego — a zacny pan Rjoski tylko stał i wzniesionemi do góry dłoniami machał nad każdą. Była to scena żywo przypominająca scenę pierwszego aktu z „La Belle Hélène“, Kalchasa z kapłankami miłości.

Banknoty, zwane przez Japończyków „kinzatcu“, wyglądają bardzo ładnie ze swemi portretami cesarzowych, obrazkami bitew i t. d. Z kształtu podobne są do amerykańskich. Odbijają się nie tylko jako znaki znaczniejszych monetarnych jednostek, ale też i jako drobna moneta zdawkowa aż do 10 „seu“, równających się 50 centymom.

Jokohama — istne państwo w państwie — nie chce znać nawet tych banknotów, a nietylko posługiwać się niemi, to też w Jokohamie sklepy, hotele i lekarze wymagają brzęczącej mamony; co zaś się tyczy reszty państwa, to „kinzatce“ kursują swobodnie, pomimo, że nie są zagwarantowane żadnym zastawem i kurs ich oscyluje znacznie. Zresztą pieniądze papierowe w Japonji nie są nowalją; korzystali z nich i szogunowie, a książęta udzielni także je w świat wypuszczali.

W jak niedługim czasie pogorszył się stan finansowy Japonji, można sądzić z tego, że w

roku 1868, t. j. w pierwszym epoki „mendży“— epoki reformy — dochody państwa wynosiły 33 miljonów „jeu“, wydatki zaś $30^1/_2$ miljonów jeu, a już w roku 1879 i pierwsze i drugie podskoczyły na $55^1/_2$ miljonów każde, przyczem dług wewnętrzny, t. j. krajowy, wynosił 352 miljonów, a zewnętrzny, czyli zagraniczny, 12 miljonów jeu. A należy uważać, że wzrost dochodów jest fikcyjny. Dotąd podatek gruntowy, stanowiący $^3/_4$ wszystkich dochodów, ściąga się w naturze, a mianowicie ryżem, z czego wypada, że dość, ażeby ryż podskoczył w cenie, a dochód jednocześnie zaraz także się zwiększy — ale tylko na papierze, bo w gruncie rzeczy pozostaje takim samym, jakim był w roku poprzednim, a czasami, jak naprzykład w roku przeszłym, i zniża się nawet.

Pojąć łatwo, że zadanie ministra finansów, przy podobnych finansach, jest wcale niełatwem. Pan Okuma dokładał wszelkich starań, ażeby przywrócić równowagę w budżecie, nie ukrywając wcale tak przed Mikadem jak i publicznością, groźnego stanu interesów. Gdy w roku bieżącym, 28. lutego, przyszedł do władzy nowy gabinet, ministrem finansów został p. Sano-Tronetamo, ten sam, który był komisarzem japońskim na wystawie wiedeńskiej przed laty ośmiu, a później posłem w Wiedniu i Rzymie. Wróciwszy do kraju, p. Sano został senatorem i zasiadał w „dżenronie“. Pochodzi on z jednej, co i p. Okumo prowncji i jest jego przyjacielem, i bardzo prawdopodobnie, że tylko dlatego dostał się mu portfeil, albowiem zmiana gabinetu w Japonji jest tylko niewinną komedją, wyprawioną dla zachowania pozorów. Kraj się spodziewał, że ministrem finansów zostanie bardziej energiczny p. Matzuhamo, lecz temu dostała się teka spraw wewnętrznych, a co do p. Sano, to wszyscy nie przestali go uważać za zero.

Zresztą choćby najbardziej utalentowany minister, nie może nic wielkiego dokazać, z powodu zależności, w jaką popadła Japonja, dzięki pozawieranym lekkomyślnie traktatom. Zgadzam się najzupełniej z panem Okumą, że tylko zmiana traktatów, a dalej powiększenie cła na towary zagraniczne z 5 na 30%, jest w stanie Japonję od nieuniknionej uchronić katastrofy finansowej. Rozumie się samo przez się, że dzienniki, wydawane przez cudzoziemców, dowodząc przeciwnie, chcą koniecznie wmówić w Japończyków, że tylko otwarcie całego kraju dla wyrobów obcych, może go ocalić. Że w podobnej drodze można pozbyć się gnijących na składach spodni i szyjonów — nie ulega najmniejszej wątpliwości, lecz ażeby Japonja mogła w ten sposób pozbyć się swych ciężkich kłopotów — o tem bardzo wątpię.

Oglądając fabrykę, zwróciłem był uwagę na niepospolite przymioty papieru, służącego do odbijania banknotów, i p. Rjoski był tak dobry, że zaprosił mię w dni kilka do obejrzenia papierni, która leży za miastem. Powiadał mi, że fabryka ta kosztowała rząd 170,000 jeu (fabryka banknotów 450.000 jeu) i że kapitał wydany na postawienie pierwszej, już się zwrócił rządowi. Fabryka mieści się w lekkich drewnianych domach i tak, jak fabryka banknotów, zaopatrzoną została w najnowsze maszyny, w Europie nabyte.

Dziwne są przymioty japońskich papierów rozmaitego gatunku. Jest naprzykład taki, z którego wyrabiają odzież, obrusy, serwety — a jest i taki, przeznaczony na obicia, który z pozoru wygląda na staroświeckie cenne obicie hiszpańskie ze skóry korduańskiej. Jest też i osobliwszy papier, służący do drukowania map — tak twardy i mocny, że prawie niepodobna rozedrzeć go rękami, co stanowi wielką wygodę, bo nie potrzeba już map naklejać na płótno i można je bezpiecznie nosić w kieszeni, bez obawy starcia rysunku. Każde wojskowe biuro topograficzne powinno sobie sprowadzić na próbę taki papier. Przymiot tego papieru zależy nie od sposobu fabrykacji, lecz od przymiotów materjału, z którego się wyrabia. Jest nim kora z pewnego japońskiego drzewa.

Na fabryce prawie nie ma mężczyzn; 500 dziewcząt w białem ubraniu doskonale daje radę wszystkiemu. Formalnie upadałem pod ciężarem rozmaitych prezentów papierowych i doskonałych fotografij, któremi mię obdarowano; ostatnie pochodziły z fabryki banknotów, która też drukuje i książki. Pan Rjosko, między innemi dał mi na pamiątkę prześliczne oficjalne wydanie, przedstawiające rysunki monet japońskich, począwszy od zamierzchłych wieków, acz po czasy dzisiejsze. Niektóre z prezentów przeznaczył p. Rjosko dla petersburskiej takiejże fabryki z prośbą, ażeby w zamian przysłała mu swoje wyroby, bo interesuje się on wielce wszystkiemi zakladami podobnego rodzaju. Wizyta znów się zakończyła obfitem śniadaniem, równającem się obiadowi dobremu.

Kuchnia europejska. Podczas śniadania, za pośrednictwem p. Malendy, doskonałego tłumacza, który od 20-tu już lat bawi w Japonji, wszczęła się rozmowa o kwestji kobiecej. Pan Rjosko, ojciec pięciu cór pięknych — z których jedna jest za panem Sajgo, byłym ministrem oświaty, a bratem znanego feldmarszałka, co na południu powstaniem dowodził — przemawiał za koniecznością wyższego wykształcenia dla kobiet. Oponowałem przeciw temu, przytaczając argumenty z praktyki rosyjskiej. Lecz trudno przekonać Japończyka, chociażby już starego, o złej stronie czegoś takiego, co praktykuje się w Europie i z niej pochodzi.

Rząd sporo traci pieniędzy na utrzymanie fabryki banknotów. Należy żałować, że rząd japoński nie na to jedno tylko, bez czego mógł by się doskonale obejść, jako rzeczy nieprodukcyjnej, nie żałował pieniędzy. Niektóre z podobnych urządzeń już dawno przepadły i zamknięte oddawna, inne wloką swój żywot, przynosząc krajowi znaczne deficyty. Do tych ostatnich zaliczyć należy zakłady marynarki wojennej, większa część których znajduje się również w pobliżu Tokjo.

W czasie mojej bytności naprawiano na warstatach japońskich w porcie Jokoski, rosyjski kliper „Abrek“. Zrobiłem wizytę kapitanowi kliperu tego, panu Szancowi, co mi dało możność pobieżnego rzucenia okiem na wojenną flotę japońską, powstałą, jak wiadomo, z nadzwyczajną szybkością, a którą znałem tylko z karykatur w *Journal Amusant*.

Jokoska od Jokohamy odległą jest na 20 kilometrów; komunikacja utrzymuje się za pomocą maleńkich parostatków, tak maleńkich, że na pokładzie trzeba siedzieć nie inaczej, jak z podkurczonemi nogami. Proszę sobie wystawić, jak to jest przyjemnie, podczas silnego wiatru, gdy parostatek taki skacze po falach jak piłka. A dodać i to nie zaszkodzi, że płyną one nadzwyczajnie pomału, a pasażerów zawsze jest dużo.

Port w Jokosce niewielki; zakryty wysokiemi górami, na tych znów lasy i pola orne błyszczą szmaragdem. Samo miasto, zbudowane w kształcie amfiteatralnym, również tonie w powodzi szmaragdowej. Większa cześć domów ciśnie się u brzegu, a pomiędzy nimi dużo amerykańskich szynków (barów), gdzie można oglądać japońskich oficerów i gardmarynów, żywo przypominających, w swych marynarskich mundurach i z grubem cygarem w ustach — uczone małpy, co ubrane po generalsku jeżdżą na pudłach przy muzyce katarynki. W porcie jest piękny dok i obszerna fabryka machin. Idąc za zwyczajem wszystkich państw, okręty japońskie wciąż się tylko poprawiają i pociągają farbą pokostową. Z tego powodu znajduje się w Nagasaki jeszcze inny doskonały dok. Dwa na raz doki gotów kto uznać za zbytek niepomierny, a szczególnie w Rosji, która pomimo iż od lat stu włada brzegami morza Czarnego, nie ma na nich jednak ani jednego doku.

Wojenna marynarka japońska składa się z jednej pancernej fregaty, trzech pancernych korwet, jednej pancernej łodzi kanonierskiej, 10 kanonierek zwykłych, 6 statków na posyłki i 5 transportowych. Wszystkie 31 są parostatkami, a z nich zdatne do użytku są tylko 2. Fregata „Fuzu“, zbudowana w Londynie w 1878 roku, na warstatach Samuela Brothers, ma 3700 ton objętości i maszynę o sile 3500 koni. Pancerz jej gruby na 9 cali, uzbrojoną jest sześciu stalowemi działami fabryki Kruppa. Następnie, co do siły, idą pancerniki „Kongo“ i „Chlej“, zbudowane także w roku 1878 w Gull, na warstatach Earle, według rysunku słynnego Ried'a. Obie mają po 2800 ton objętości, maszyny o sile 2500 koni, pancerz gruby na $4^1/_2$ cala, oraz uzbrojenie z 12 dział Kruppa, rzucających pociski ważące po 142 funty.

Cała japońska marynarka liczy 4241 oficerów wraz z majtkami, i 146 dział; roczny budżet ministerstwa marynarki sięga wyżej nad 20.000,000 franków.

Podobny wydatek — jest istnem szaleństwem dla państwa ubogiego. Ileż to cierpień narodu kryje się w tych miljonach, narodu mieszkającego w chatach karcianych i nieznającego innego pożywienia nad ryż i rybę surową — i po co? Rzeczą jest znaną, że użyć pancerników nikt dotąd w Japonji nie umie, a jeśliby i kto potrafił, to cóż znaczą 4 okręta wobec flot Anglji, Francji, a nawet Włoch? A zresztą ciągle nowe w marynarce udoskonalenia idą jedno za drugiem tak szybko, że zaledwie okręt zostanie zbudowanym, a już nazajutrz, wobec nowo wymyślonych lepszych, staje się do niczego. Z tego to powodu praktyczni Amerykanie oddawna wyrzekli się budowania nowych pancerników i ograniczyli się na lekkich krejserach. A czyż można porównać zasoby i interesy japońskie z amerykańskiemi?

O SOCJOLOGJI.

przez

Władysława Kozłowskiego.

Socjologja jest umiejętnością nową. Właściwym jej twórcą jest August Comte, który też i nadał jej powyższe nazwisko. Twórcą jej jest

on nie w tem znaczeniu, jakoby on pierwszy zajął się zbadaniem rzeczy, przed nim nieznanej, albo że wykończył całą budowę socjologji tak, że jego następcom nie pozostało, jak uzupełniać ją pod względem szczegółów. Zajmowano się i przed nim różnemi zagadnieniami społecznego życia, a nawet niektóre jego strony dość dokładnie zbadano, o ile na to pozwalał dostępny na owe czasy empiryczny materjał. Co się zaś tyczy teorji społecznego życia, jak ją rozwinął Comte w swej socjologi, to jest ona, jak powiada Mill, próbą zaledwie i to tak wadliwą, że potrzebuje być przerobioną niemal w całości.

Zasługą jest Comte'a, że on pierwszy pojął życie społeczne w syntetycznej całości, połączywszy badania nad porządkiem społecznym z badaniami nad dziejowym rozwojem społeczeństwa; że on ustalił raz na zawsze główne podstawy socjologji, dowiódłszy, że objawy społecznego życia nadają się do badań tak samo, jak zjawiska świata fizycznego; wykazawszy, że jedyną metodą, jakiej należy używać w socjologji, jest metoda przedmiotowa.

Późniejsze prace Quetleta, które wykazały za pomocą rachunku, że w objawach społecznego życia zachodzi pewna prawidłowość, mniej widoczna, trudniejsza do sformułowania od tej, jaką dostrzegamy w zjawiskach fizycznych, ale nie mniej stała i dająca się oznaczyć w przybliżeniu — stwierdziły ostatecznie poglądy Comte'a i zapewniły socjologji stanowisko w rzędzie ścisłych umiejętności.

Że socjologja ma wszelkie warunki rozwoju, że jest umiejętnością równie dobrą i prawomocną, jak wszystkie jej starsze siostrzyce — trudno już dziś powątpiewać. Ma ona ściśle oznaczony w swych granicach przedmiot; ma metodę, dokładnie rozwiniętą i zastosowaną do natury swego przedmiotu; a w końcu ma za sobą już pewną przeszłość, uświęcającą prawa jej obywatelstwa. Jedyny, dozwolony dziś skeptycyzm pod względem socjologji, może się tylko odnosić do tego, ażali można socjologję uważać za umiejętność, wykończoną we wszystkich szczegółach. Jakoż wyznać potrzeba, że bardzo wiele jej jeszcze brakuje, ażeby mogła się za taką uważać. Przyczyny tego atoli szukać potrzeba w tem, że jak dotąd za skąpy ma materjał obserwcyjny do swego rozporządzenia.

Jakież jest zadanie socjologji? Zadaniem socjologji jest zbadanie praw, leżących w podstawie społecznego życia, przewodniczących wszystkim jego objawom tak tym, które występują obok siebie, współcześnie, jak i tym, które następują po sobie w czasowem następstwie. Innemi słowy: bada ona prawa społecznej równowagi i dziejowego rozwoju — obie te strony społecznego życia pojmując w syntetycznej jedności. Równowaga społeczeństwa opiera się na urządzeniach domowych, obyczajowych, religijnych, ekonomicznych, prawnych i politycznych. Urządzenia te, przedstawiające wewnętrzną budowę społeczeństwa, ustrój jego, nie są kształtami znieruchomionemi w sobie na podobieństwo postaci kryształu — są one raczej formami organicznemi, podległemi ciągłym zmianom, powolnemu rozwojowi. Dla tego też wtedy tylko mogą należycie być zrozumiane, gdy w badaniach nie będziemy tracić z uwagi praw rozwoju, które w nich tak samo są czynnemi, jak i prawa równowagi. Z drugiej znów strony, rozwój dziejowy, jeżeli nie ma być brany za jedno z rewolucją, dążącą do postępu drogą gwałtownych przewrotów— musi się opierać na porządku społecznym, musi sięgać tylko tak daleko, jak na to pozwalają warunki społecznej równowagi, która jest podstawą bytu społeczeństwa. Badanie więc praw dziejowego rozwoju musi iść ręka w rękę z badaniem warunków społecznej równowagi.

Socjologja, przedsiębiorąc badanie praw społecznego życia, nic innego przez wyraz prawo nie rozumie, jak pewien stały porządek, w jakim objawy życia społecznego występują obok siebie, lub następują po sobie. Źródła tego porządku szuka ona nie w absolutnych ideach, mających zewnętrzny byt, nie w ideach wrodzonych człowiekowi, również niezrozumiałych, jak i tamte, ale w naturalnych własnościach społecznych czynników — w potrzebach natury ludzkiej, w uczuciach, wierzeniach, w fizycznej człowieka organizacji, w działaniu i oddziaływaniu na się jednostek, a nareszcie we wpływach otaczającej przyrody i sąsiednich społeczeństw. Porządek ten, abstrakcyjnie pojęty i jak najwięcej uogólniony, da się wyrazić za pomocą następującej formuły logicznej: w tych samych warunkach te same następują zjawiska, albo: podobne przyczyny podobne pociągają za sobą skutki.

Praw tych bada socjologja za pomocą metody przedmiotowej, która polega na tem, że posługując się zarówno tak indukcją jak i dedukcją, pilną zwraca uwagę na to, ażeby wszystkie jej założenia opierały się na faktach, były indukcyjnym wywodem z danych, jakich dostarcza doświadczenie i obserwacja; ażeby wszystkie jej dedukcyjne wnioski zdolne były sprawdzenia, przepowiadały zjawiska, jakie dadzą się wykryć we skazanym kierunku badania; ażeby wszystkie jej domysły i przypuszczenia, wszystkie hypotezy, obmyślane przez nią dla wytłómaczenia rzeczy, której na innej drodze wytłómaczyć nie podobna — zgadzały się z naukowemi pewnikami i nie zawierały w sobie nic takiego, coby było przeciwnem znanym własnościom materji i ruchu.

Poznawszy zadanie socjologji i jej metodę, musimy zastanowić się po kolei nad samym przedmiotem, którym się ona zajmuje, a mianowicie nad tem, jak mamy pojmować ludzkie społeczeństwo.

Różne pod tym względem są zapatrywania się. Można utrzymywać, że społeczeństwo jest dziełem wszechmocności bożej, albo że jest ono dowolnym utworem człowieka, albo że jest naturalnym tworem przyrody, podobnym do innych jej tworów, jakiemi są ciała organiczne i nieorganiczne. Które z tych mniemań jest słusznem? Ażeby na to odpowiedzieć, musimy zastanowić się nad niemi po kolei.

Twierdzenie, że społeczeństwo jest dziełem woli bożej *bezpośredniem*, nie może się ostać w obec faktów, jakich nam dostarcza historja i etnografja, które wykazują, że w wytwarzaniu się społeczeństwa, czynnemi są naturalne żywioły i wśród nich nie masz miejsca dla żywiołów nadprzyrodzonych. Może atoli to twierdzenie być sformułowanem w umiarkowańszej formie, może ono utrzymywać, że jakkolwiek społeczeństwo układa się z pierwiastków naturalnych, siła, która te pierwiastki wprawia w ruch i nadaje im kierunek, nie jest z tego świata. Otóż i w tej nawet umiarkowanej formie twierdzenia tego nie można przyjąć za rozwiązanie naukowego zagadnienia. Może ono zaspokoić wymagania uczucia, ale nie może zaspokoić wymagań rozumu. Zagadnienia nie rozwiązuje ono wcale, przeciwnie robi je dla nas raz na zawsze nierozwiązalnem. Tłómaczy bowiem rzecz nieznaną, ale mogącą być poznaną, za pomocą rzeczy nieznanej, do której poznania żadnych danych nie mamy. Jest ono twierdzeniem z rzędu tych, których ani dowieść, ani zaprzeczyć nie można. Można w nie wierzyć, ale dysputować nad niem nie można, gdyż nie mamy punktu oparcia, z którego moglibyśmy coś popowiedzieć za, albo przeciw niemu. Pozostawiwszy więc wierze, co do niej należy, musimy szukać rozwiązania naukowych zagadnień na drodze czysto rozumowej.

Przechodzimy więc do pytania: czy społeczeństwo jest dowolnem ustanowieniem ludzkiem? Socjaliści wszelkiego rodzaju i wszelkich odcieni zdają się wyznawać doktrynę Rouseau, który utrzymywał, że społeczeństwo jest postanowieniem ludzkiem, że powstało ono na mocy umowy, wzajemnego porozumienia się z sobą pojedyńczych ludzi. Zastanawiać się długo nad tą doktryną, nad którą nauka dawno już przeszła do porządku dziennego, byłoby zbytecznem. Wystarczy więc, gdy powiem, że etnografja wykazała dowodnie, że byt społeczny jest naturalnym stanem człowieka, że dla porozumienia się z sobą muszą ludzie posiadać mowę chociażby najmniej rozwiniętą — mowa tymczasem jest wytworem społecznym, po za społeczeństwem powstać ona nie może.

Jest jeszcze inne mniemanie, które powiada, że społeczeństwa są dziełem wielkich ludzi. Można na to odpowiedzieć, że wielkich ludzi znamy tylko w społeczeństwie, po za społeczeństwem ich nie masz. Ażeby być wielkim, potrzeba urodzić się w społeczeństwie i to do pewnego stopnia już rozwiniętym. Wielcy ludzie mogą być reformatorami społeczeństwa już gotowego, ale reformatorami o tyle tylko, o ile działają w duchu narodowego charakteru, w kierunku zgodnym z panującemi obyczajami, wierzeniami i uczuciami. Historja nas uczy, że ustawy Likurgów, Solonów, Mojżeszów, Konfucjuszów, nie były indywidualnemi pomysłami; treść do nich i formę wzięli oni z łona samegoż narodu i tylko je rozwinęli, uzupełnili stosownie do nowych potrzeb życia, albo zgodnie z osobistemi zamiarami, jakie mieli na widoku.

Jeżeli więc społeczeństwo nie jest ani bezpośredniem dziełem woli bożej, ani dowolnem ustanowieniem człowieka — to z konieczności musimy przyjąć ostatnie twierdzenie, że jest dziełem ludzkiem *mimowolnem*, czyli, co na jedno wychodzi, jest tworem natury, który powstaje i rozwija się mocą czynników, panujących nad wolą ludzką i posługujących się nią, jak narzędziem. Przyjąwszy zaś, że społeczeństwo jest tworem natury, musimy je uważać za twór organiczny, w przeciwnym bowiem razie bralibyśmy je za jedno z ciałami nieorganicznemi, pozbawionemi życia — coby było logiczną niedorzecznością; nikt bowiem nie może na serjo utrzymywać, że społeczeństwo, jako całość, nie żyje, że tak w swej wewnętrznej budowie, w swych urządzeniach, jak i zewnętrznym kształcie pozostaje nieruchomem, nie podlega żadnym zmianom, w którychby można było dopatrzeć się pewnej prawidłowości, podobnej do tej, jaką widzimy

w istotach organicznych — w roślinach i zwierzętach. Już to samo że społeczeństwo składa się z jednostek, które są jednostkami organicznemi, powinno wystarczyć za dowód, że jako całość, musi ono być także organicznem. Że niem jest rzeczywiście, przekonywa nas ostatecznie głębsze wejrzenie w naturę społeczeństwa i porównanie go z organicznemi ciałami.

Czem jest społeczeństwo? Nie czem innem, jak zbiorem pojedyńczych ludzi. Lecz czy zbiorem zwykłym? W takim razie między niem a prostą gromadą, chwilowem zrzeszeniem się ludzi nie byłoby żadnej różnicy. Społeczeństwo jest zbiorem ludzi połączonych z sobą wspólnością, jeżeli nie krwi, to tradycji, wspólnością interesu, przebytemi niepowodzeniami i wspomnieniami chwil szczęśliwych, a nareszcie jednemi nadziejami i dążnościami. Jest ono zbiorem, w którym przez wzajemne oddziaływanie na się jednostek, ustaliły się ściśle oznaczone między niemi stosunki; w którym, skutkiem wzajemnej zależności od siebie nie tylko jednostek współistniejących, ale i następujących po sobie, wyrobiła się jak najściślejsza solidarność tak pojedyńczych ludzi, jak i całych pokoleń nie tylko pod względem działania, ale także pod względem myślenia i uczucia. Jeżeli więc wspólność interesu i działania czyni ze społeczeństwa całość odrębną, zamkniętą w sobie i skończoną, całość konkretną; to solidarność myślenia i uczucia nadaje tej całości charakter moralnej indywidualności, czyni ją jednostką moralną.

Taka jest natura społeczeństwa, takie są własności jego ustroju i życia.

Zechciejmyż teraz porównać go z organicznemi istotami, a łatwo się przekonamy, że nie tylko posiada ono wszystkie cechy, właściwe istotom organicznym, ale co więcej, podobniejszem jest do organizmu zwierzęcego, jak do roślinnego.

Spencer wykazuje następujące analogie między społeczeństwem a organizmem zwierzęcym.

1) Z początku, będąc małemi tylko skupieniami, powiększają się powoli i często stają się dziesięć tysięcy razy większemi, niż były pierwotnie.

2) Będąc zrazu prostemi pod względem ustroju, tak że możnaby je uważać za bezpostaciowe masy, w miarę, jak wzrastają, stają się coraz więcej złożonemi i skomplikowanemi w swej budowie.

3) W pierwotnym, nierozwiniętym ich stanie zaledwie istnieje jakaś zależność między składowemi ich częściami; powoli atoli zależność ta wzrasta i staje się w końcu tak wielką, że czynność i życie każdej składowej ich cząstki możliwemi są wtedy tylko, gdy reszta żyje i działa.

4) Życie i rozwój tak społeczeństwa jak i organizmu niezależne są od życia składowych ich części i trwają od nich dłużej.

Obok tych atoli podobieństw, występują także i różnice, które są następujące:

1) Społeczeństwa nie mają gatunkowej formy zewnętrznej. Różnica ta wszakże małej jest wagi, ponieważ taki sam brak określonej formy widzimy także w organizmach niższych rodzajów tak roślinnych jak i zwierzęcych.

2) Żyjąca tkanka, z której składa się pojedyńczy organizm, stanowi ciągłą masę, gdy tymczasem społeczeństwo składa się z jednostek oddzielonych od siebie. Do różnicy tej nie można przywiązywać wielkiej wagi, gdyż najprzód między roślinami i zwierzętami niższego gatunku; znajdują się typy organizacji, która składa się z żyjących jednostek, rozrzuconych w masie, prawie pozbawionej życia, a następnie organizm pojedyńczy składa się z żyjących jednostek, z komórek, które z sobą nie stykają się, lecz je przedziela substancja międzykomórkowa. Z drugiej znów strony, jakkolwiek jednostki, składające społeczeństwo, mają byt oddzielny i są rozrzucone na przestrzeni pewnego kraju, przestrzeń ta przecież nie jest martwa; jest w niej życie, acz niższego gatunku, życie, nadawane jej przez świat roślinny i zwierzęcy.

3) Jednostki żyjącego organizm ustalone są w swych względnych położeniach, gdy tymczasem jednostki społeczne mogą dowolnie zmieniać miejsce swego pobytu. Lecz i ta różnica mniej znaczy, niż się zdaje na razie. Swoboda zmiany miejsca panuje w stosunkach prywatnych, lecz ustaje prawie zupełnie w publicznych. Urzędnik, przemysłowiec, handlarz zmuszeni są nieraz całe życie spędzać w tem samem mieście, albo w tej samej prowincji.

4) Najważniejszą różnicą, jedyną, której nigdy nie można spuszczać z uwagi, jest ta, że gdy w organizmie zwierzęcym pewna tylko tkanka obdarzona jest czuciem, to w społeczeństwie posiada je każda jednostka. W zwierzęciu życie składowych części zlewa się i rozpływa niejako w życiu całości, w której wcielonem jest poczucie siebie, uzdolniające zwierzę do odczuwania przyjemności i przykrości; w społeczeństwie przeciwnie jednostki nie tracą poczucia i świadomości siebie, indywidualność ich nie rozpływa się w całości, która poczucia siebie nie posiada, która żyje życiem jednostek, ich cnotami utrzymuje się, ich błędami i wadami ginie. Ta ostatnia różnica wskazuje nam, że, jakkolwiek społeczeństwo jest organizmem i to takim, który więcej jest podobnym do organizmu roślinnego, jak zwierzęcego, z tem wszystkiem utożsamiać je ze zwierzęcym organizmem, jak to robią niemieccy socjologowie i p. Espinas — nie można, jeżeli już nie ze względów na logikę, to przynajmniej na praktyczne następstwa, wiodące prostą drogą do despotyzmu, do poświęcania jednostki na rzecz całości. Społeczeństwo jest organizmem, ale organizmem w swoim rodzaju.

Z tego nie wynika, by w społeczeństwie czynnemi były inne jakieś siły, różne od tych, jakie wykrywamy w ogóle w żyjącym organizmie, aszczególniej w organizmie zwierzęcym. Społeczeństwo, pomimo całej złożoności swego ustroju, pomimo ogromnie skomplikowanych spraw jego i czynności — nie przestaje być zbiorem pojedyńczych ludzi i niczem więcej jak zbiorem. We wszystkich objawach jego życia, we wszystkich zdarzeniach dziejowych, czynnościach prywatnych i publicznych nie zdołamy wykryć żadnego innego czynnika nad te, jakie wykrywamy w życiu pojedyńczego człowieka — są to czynniki biologiczne i psychologiczne.

Dlatego też socjologia, badająca życie społeczne we wszystkieh jego objawach, musi się opierać na biologji i psychologji, gdyż w zasadach ich leży klucz do wszystkich społecznych zagadnień. Jednostka ludzka, tak pojedyńcza jak i zbiorowa, żyje najprzód naturalnemi potrzebami, wynikającemi z właściwości ludzkiego organizmu, podług praw, których wykryciem zajmuje się biologia: a następnie żyje umysłowo, jako jednostka myśląca, czująca i działająca, podług praw, które stanowią przedmiot psychologji.

DYSONANSE.

Zwątpień gorycze, którymi się struło
Serc tyle — dla mnie byłyby nektarem...
Dotykam czary mej wargą nieczułą,
Wiecznie spragniona pierś dysze pożarem;
W czarze od złota jasnej i djamentów
Czemuż dziś nie ma choćby kropli mętów?

Zwątpień gorycze, którymi się poim
W dniach szczęścia — mogą czasem być słodyczą.
Ja próżnię życia wypełniłem moim
Duchem, bo on miał siłę tajemniczą,
Która przekształca świat i rzeczy postać —
Tak przekształconym świat nie mógł pozostać...

* * *

Smutno! Jak wszystko w oczach mych się karli
A tylko nicość zwolna olbrzymieje!
Z niebios tajemnic zasłonę mnie zdarli,
Z serca wygnali wiarę i nadzieję.
Spokój? Tak — cisza wielka jest w mej duszy,
Wielka jak w głuchym, bezludnym kościele.
Już odmówiłem pacierz mój najdłuższy
I odświęciłem ostatnią niedzielę...
I mam to wszystko pamięci przytomne,
Lecz kiedym pacierz skończył — już nie pomnę.

Smutno! Jam drogi wybierał najprostsze
Do szczęścia — słońce widziałem w iskierce:
Serce otworzyć raz kochance-siostrze
I raz w piosence wyśpiewać to serce,
A potem oddać to serce najkrwawsze
Smutniejszym braciom w ofierze — na zawsze.

Do uczty życia ja z braćmi pospołu
Nie siadłem nigdy. Czemuż w piersi głębi
Mam bryłę lodu a w niej garść popiołu?
Chłód was owionie, serca wam wyziębi,
Uczta wesoła, a goście bez liku —
Cóż wam po takim, bracia, biesiadniku?

Tym zaś, co płaczą, ja łez nie osuszę
Zwodniczem słowem wiary i nadziei,
Lecz gdy w zbolałą brata zajrzę duszę,
Żem wszystkie bole przeszedł po kolei,
Przeto mnie smutno wtedy, smutno bardzo!
To litość — którą dumne serca gardzą.

* * *

Szczęśliw, kto serce wcześnie uśpić zdoła,
Albo je rzuci kędyś w dal błękitną,
Tam po za światy, pod skrzydła anioła,
Gdzie kwiaty wiosen życia wiecznie kwitną,
Gdzie ono przetrwać może wieki całe
Czyste, płomienne, święte — skamieniałe!...

Czesław.

PANI SOURDI

NOWELLA.

I.

Każdej soboty, Ferdynand Sourdi wstępował po nowy zapas farb i pędzli do sklepu »wujaszka« Moran, znajdującego się w ciemnym i wilgotnym domu, drzemiącym na wązkim placu miasteczka Mercoeur, pod osłoną starożytnego klasztoru, przekształconego na świeckie kollegium. Ferdynand — pochodził jak mówiono z Lille; był on już od roku w kollegjum guwernerem, uprawiał malarstwo namiętnie, zamykając się w swojej pracowni i cały czas wolny poświęcał szkicom, których nikomu nie pokazywał.

Najczęściej w sklepie spotykał pannę Adelę, córkę wujaszka Moran; ona również malowała akwarelle i o tem wiele mówiono w Mercoeur.

— Prosiłbym o trzy laski białej farby, jedną żółtej ochry — o dwie zielonej... Adela, będąca au courant maleńkiego ojcowskiego handlu, podawała młodemu człowiekowi farby i za każdą razą zapytywała:

— Co pan jeszcze rozkaże?

— Tymczasem nic więcej.

Ferdynand chował do kieszeni pakiecik, płacił z niezręcznością biedaka, który lęka się być oszukanym i wychodził. Tak upłynął rok, bez wszelkich wypadków.

Kupujących u wujaszka Moran było dwunastu. Mercoeur, liczące 8000 mieszkańców, zyskało sobie rozgłos wyrobami skórzanemi, lecz sztuki piękne w niem nie kwitły. Było tam czterech czy pięciu malców bazgrzących pod nadzorem nauczyciela Niemca, bladego i chorego człowieka, z płaskim profilem; także panny Levêque, córki notarjusza zabrały się były do farb olejnych, lecz to wzbudziło skandal ogólny. Jeden tylko był prawdziwy klijent, znakomity Rennequin, urodzony w miasteczku, cieszący się rozgłosem w Paryżu, otrzymujący medale i zamówienia, a nawet nagrodzony orderem. Podczas gdy ten przyjeżdżał na lato do Mercoeur, w małym sklepiku na placu kollegjum panowała panika. Moran umyślnie sprowadzał farby z Paryża, ze skóry wyłaził, byle tylko dogodzić Rennequin'owi i przyjmował go z głębokim szacunkiem, rozpytując się o nowe jego tryumfy. Malarz, dobroduszny tłuścioch, przyjmował zwykle w końcu zaproszenie do Morana na obiad i oglądał akwarelle małej Adeli; znajdował on je nieco przyblademi, lecz świeżemi jak róże.

— Lepiej malować aniżeli haftować — mówił do niej, ciągnąc ją za ucho — I naprawdę rysunki twoje są nie złe! nieco oschłe, ale typowe. Pracuj, pracuj i nie krępuj się; rób tak jak ci Bóg wlał do duszy.

Ma się rozumieć, że wujaszek Moran utrzymywał się nie ze swojego handlu. Malarstwo było jego starą namiętnością; artystyczna żyłka nigdy w nim nie zamarła — teraz odezwała sią w córce. Do niego należał dom, w którym mieszkał, kilka spadków jeden po drugim wzbogaciły go: miał, jak utrzymywano od sześciu do ośmiu tysięcy franków dochodu. Pomimo to, trzymał ciągle swój sklepik w małym parterowym saloniku, którego okno służyło za witrynę; małą wystawę upiększały laski farb, pałeczki tuszu, pędzle; od czasu do czasu pojawiały się akwarelle Adeli, i małe obrazki treści religijnej malarza Niemca. Dnie mijały jeden za drugim, lecz kupcy nie trafiali się. Z tem wszystkiem wujaszek Moran żył sobie szczęśliwie wdychając zapach farb i gdy pani Morau, stara, schorzała kobieta radziła mu zwinąć »magazyn«, wpadał w wściekłość, jako człowiek czujący, że spełnia pewną missję. Miszczanin w głębi duszy, człowiek surowej pobożności, przykuty był do swego sklepu instynktem chybionego artysty. Gdzież miasto będzie kupowało farby?! Prawdę powiedziawszy, nikt ich nie kupuje, lecz mogą się znaleźć amatorowie. I nie decydował się na porzucenie interesu.

W takim to otoczeniu wyrosła panna Adela. Kończyła rok 22. Małego wzrostu, prawie zanadto pełna, przyjemnej okrągłej twarzy z przenikliwemi oczyma, lecz nadzyczajnie blada i żółta, nie uchodziła za piękność. Robiła wrażenie maleńkiej staruszki, twarz jej zdawała się już zwiędłą, jak u starej panny. Jednakże Adela nie chciała iść za mąż. Odmówiła już kilku konkurentom. Nazywali ją dumną, bezwątpienia oczekiwała na księcia; krążyły różne nieprzyzwoite historyjki o poufałościach jakich pozwalał sobie względem niej stary włóczęga Rennequin.

Adela zamknięta sama w sobie, milcząca zwykle i zamyślona, zdawała się nie zważać na te plotki. Żyła, nie doświadczając namiętności, zrósłszy się niejako z wilgotnym placem kollegium, i od dzieciństwa mając przed oczami jeden i ten sam bruk mchem pokryty, jeden i tenże sam ciemny zaułek, na którym nie widać było duszy ludzkiej; dwa razy na dzień tylko malcy popychali się u drzwi kollegjum; to było jej jedyną rozrywką. Nigdy jednak nie nudziła się, jak gdyby szła drogą dawno obmyślanego istnienia. Wielką miała moc charakteru i wielką ambicję, w połączeniu z niewysłowioną cierpliwością; i to właśnie wprowadzało ludzi w błąd względem jej rzeczywistego usposobienia. Powoli zaczęto na nią patrzeć jak na starą pannę. Zdawało się, że na wieki poświęciła się swoim akwarellom. Jednakże kiedy przyjeżdżał znakomity Rennequin i opowiadał o Paryżu, Adela słuchała, niema, blada a jej przenikliwe czarne oczy błyszczały.

— Dla czego ty nie poślesz kiedy twoich akwarel na wystawę? — powiedział jej raz malarz, który zawsze mówił do niej »ty«, w charakterze starego przyjaciela. Postaram się, ażeby je przyjęto.

Wzruszyła ramionami i odpowiedziała z nieudaną skromnością, w której jednak czuć było gorycz:

— O! kobiece malowidła! czy warto o tem mówić.

Zjawienie się Ferdynanda Sourdi było ważnym wypadkiem dla wujaszka Moran. Przybywał nowy klient i to klient serjo, gdyż nikt w Mercoeur nie zużywał farb tyle. W pierwszym miesiącu Moran bardzo interesował się młodym człowiekiem, zadziwiony artystyczną namiętnością w jednym z tych guwernerów, którymi pogardzał za niechlujstwo i lenistwo, napatrzywszy się na nich dość przez lat 50. Ten jednak guwerner, jak mu powiadano, należał do znakomitej, zrujnowanej rodziny, i po śmierci rodziców przymuszony był przyjąć pierwsze lepsze miejsce, ażeby nie umrzeć z głodu. Nie przestawał zajmować się malarstwem, marząc o swobodzie, o Paryżu, o sławie. Upłynął rok — Ferdynand zdawało się ochłódł, przyciśnięty w Merceeur niedostatkiem. Wujaszek Moran, ostatecznie przyzwyczaił się do niego i przestał się nim interesować.

Jednakże, raz, jakoś wieczorem, zadziwiło go zapytanie córki. Malowała przy świetle lampy, usiłując z matematyczną dokładnością stworzyć fotografję z jakiegoś obrazu Rafaela, gdy nagle, po długiem milczeniu, odezwała się nie podnosząc głowy:

— Ojcze, dla czego ty nie poprosisz Ferdynanda o jakikolwiek jego obraz?... Możnaby go wystawić za szybę.

— Ba! to prawda! — zawołał Moran — dobra myśl... nie przyszło mi nigdy do głowy zobaczyć co on tam maluje. Czy ci pokazywał cokolwiek?

— Nie — odrzekła — tak sobie powiedziałam... Przynajmniej zobaczymy jakiego rodzaju są jego malowidła.

Właściwie Ferdynand zainteresował Adelę. Uderzyła ją piękność młodego blondyna, noszącego krótko ostrzyżone włosy, lecz długą brodę, miękką, złocistą, delikatną brodę, przez którą przeświecała różowa skóra. Jego niebieskie oczy wyrażały łagodność, a małe wązkie ręce i delikatna twarz wskazywały czułą, wrażliwą naturę. On nie mógł mieć silnej woli. Rzeczywiście zdarzało się, że przez trzy tygodnie nie pokazywał się w sklepie; malarstwo było zarzucone i chodziły pogłoski, że młody człowiek przepędza czas w sposób godny politowania, w brudnej kawiarni. Raz nawet mówili o wydaleniu go ze służby, gdyż dwie noce przepędził po za kolegium, a raz przyszedł wieczorem mocno pijany; lecz trzeźwy był tak miłym, że go pozostawiono, pomimo jego błędów. Wujaszek Moran oczywiście nie mówił z córką o takich rzeczach; ostatecznie wszyscy guwernerzy warci są jeden drugiego — kompletnie nieobyczajni ludzie, i pysznie nadymał się, jak to przystoi oburzonemu mieszczaninowi, spotykając młodego człowieka, choć w duszy czuł sympatję do artysty. Adela z tem wszystkiem wiedziała o prowadzeniu się młodego człowieka, dzięki gadatliwości służącej. Ona również milczała, ale myślała o tem i gniewała się na Ferdynanda do tego stopnia, że w przeciągu trzech tygodni unikała podawania mu towaru, a nawet wychodziła ze sklepu gdy tylko zauważała, że on idąc kieruje się w tę stronę. Lecz bardzo wiele o nim myślała i różnego rodzaju smutne dumania

powstawały w jej głowie. Stawał się interesującym. Gdy przechodził, prowadziła za nim oczami, potem myślała o nim od rana do wieczora, schylona nad akwarellami.

— No i cóż — zapytała w niedzielę ojca — przyniósł ci obraz?

W sobotę potrafiła urządzić rzeczy tak, że gdy przyszedł Ferdynand, w sklepie znajdował się tylko ojciec.

— Przyniósł — odpowiedział Moran — kazał się jednak prosić! Nie wiem czy to skromność, czy ceregiele. Wymawiał się, mówił, że jego obrazy nie warte pokazywania... Jutro obraz będziemy mieli.

Nazajutrz, Adela powróciwszy z przechadzki do ruin zamku, dokąd chodziła dla zdjęcia szkicu, zatrzymała się zdumiona przed płótnem bez ram, zawieszonem na stalugach na środku sklepu. Był to obraz Ferdynanda Sourdi. Przedstawiał on dno szerokiego rowu, z grubym pokostem trawy, którego zielona linja przerzynała błękitne niebo; tuż obok igrała gromadka uczniów kolegium, gdy tymczasem guwerner czytał książkę rozciągnięty na trawie; widocznie obraz zdjęty był z natury. Adela była najzupełniej przygnębiona niektóremi przejściami tonów i śmiałością rysunku, na któreby się sama nigdy nie ośmieliła. W swych własnych pracach, wykazywała nadzwyczajny artyzm, tak, że przyswoiła sobie manierę Rennequin'a i innych ulubionych jej malarzy. Ale tu było coś nowego, coś czego nie znała, dawała się czuć osobistość artysty i to ją uderzało.

— No i co? — zapytał Moran, stojący po za nią i oczekujący na jej wyrok. — Co ty o tem myślisz?

Ona milczała. Nakoniec, wahając się i niedecydując, bąknęła:

— Dziwna rzecz... bardzo dobrze...

Wracała do płótna po kilka razy, z poważnym wyrazem twarzy. Na drugi dzień, gdy ciągle jeszcze wpatrywała się w obraz, wszedł do sklepu Rennequin, bawiący podówczas w Mercoeur, i lekko krzyknął:

— Ba! a to co takiego?

Patrzał na obraz oszołomiony. Potem, przysunąwszy krzesło i usiadłszy przed obrazem, oglądał go szczegółowo i powoli wpadł w zachwyt.

— A to rzecz ciekawa!... Ton nadzwyczajnej delikatności i prawdy!... Popatrzno jak odskakują te białe koszule na zielonej trawie... A jakie to oryginalne! jakie prawdziwe?... Przecież to nie ty malowałaś?

Adela słuchała rumieniąc się, jak gdyby komplementa odnosiły się do niej. Spiesznie odpowiedziała:

— Nie, nie; to ten młody człowiek; znasz go pan — on służy w kolegium.

— Robota podobna do twojej — ciągnął dalej artysta. To ty, gdyby ci dodać tylko siły... A więc to ten młody człowiek! no, no, ma talent i to wielki talent. Taki obraz miałby wielkie powodzenie na wystawie.

Wieczorem Rennequin był u Moranów na obiedzie; zawsze okazywał im ten honor przyjeżdżając do Mercoeur. Mówił o malarstwie przez cały wieczór, kilka razy powracając do Ferdynanda Sourdi, którego obiecał zobaczyć i ośmielić. Adela milcząc słuchała opowiadań jego o Paryżu, o życiu jakie tam prowadzi, o tryumfach jego, i na bladem czole rozsądnej młodej dziewczyny widać było zmarszczkę głęboką, jak gdyby pod nią zasiadła i na wieki osiedliła się myśl jakaś.

Obraz Ferdynanda został oprawiony i położony za wystawę; panny Levêque widziały go i znalazły niewykończonym, a zatrwożony Niemiec opowiadał w mieście, że to jest malowidło nowej szkoły, ignorującej Rafaela. Pomimo to, obraz miał powodzenie; znajdowano go prześlicznym; rodziny mieszczan przychodziły jedna za drugą popatrzeć na studentów tam namalowanych. Położenie Ferdynanda w kolegium nie poprawiło się przez to; nauczyciele byli zgorszeni sławą tego guwernera, do tego stopnia nieobyczajnego, że malował dzieci, nad któremi poruczono mu dozór. Jednakże pozostawili go na miejscu, wziąwszy obietnicę, że na przyszłość będzie się prowadził poważniej.

Rennequin, przyszedłszy do niego z powinszowaniem, znalazł go zdesperowanego, prawie we łzach; mówił, że trzeba będzie porzucić malarstwo.

— Głupstwo! — zawołał malarz, z zwyczajną sobie dobroduszną gburowatością. — Masz dosyć talentu, ażeby się śmiać z tych wszystkich bałwanów... Nie turbuj się, będzie i na naszej ulicy święto; pan potrafisz otrząsnąć się z nędzy tak, jak i inni twoi koledzy. Ja sam służyłem do posyłek rzeźbiarzom. Tymczasem pracuj... to cała rzecz.

Od tego czasu dla Ferdynanda rozpoczęło się nowe życie. Powoli zbliżył się do Moranów. Adela zaczęła kopię z jego obrazu »Spacer«. Porzuciła swoje akwarele i wzięła się do farb olejnych. Rennequin słusznie zauważył: miała ona całą delikatność rysunku młodego człowieka, bez jego siły; przynajmniej w zupełności owładnęła jego manierą, a nawet przewyższała Ferdynanda w zręczności, z łatwością przezwyciężając każdą trudność. Kopja powoli i starannie zrobiona zbliżyła ich jeszcze bardziej. Adela przeniknęła Ferdynanda, szybko zawładnęła jego manierą, tak że się zdziwił niezmiernie, zobaczywszy takie literalne powtórzenie swego obrazu, wykonane z całą kobiecą gracją. To był on, pozbawiony osobistości, lecz pełen uroku. W Mercoeur kopja Adeli miała daleko większe powodzenie od oryginału Ferdynanda. Lecz za to na ich rachunek poczęto pleść niestworzone historje.

W rzeczywistości, Ferdynand ani myślał o czemś podobnem. Adela nie zachwycała go. Pozostawał obojętnym względem małej mieszczanki; żółtawa jej cera, była mu nawet nieprzyjemną. Obchodził się z nią zwyczajnie, jak artysta, jak kolega. Rozmawiali z sobą tylko o malarstwie. On zapalał się, głośno marzył o Paryżu, oburzał się na nędzę, która go przykuwała do Mercoeur. Ach! gdyby miał utrzymanie, zarazby porzucił kolegium. Powodzenie jego nie ulegało wątpliwości. Nieszczęsna kwestja pieniędzy, kwestja powszedniego chleba, doprowadzała go do wściekłości. A ona słuchała go z powagą, roztrząsając rzecz ze wszystkich stron, ważąc szanse powodzenia. Następnie, bez wszelkich dalszych objaśnień, radziła mu nie tracić nadziei.

Pewnego pięknego poranku, wujaszka Moran znaleziono w sklepie bez życia. Rozpakowywał skrzynkę z pędzlami i farbami i został tknięty apopleksją. Upłynęło dwa tygodnie; Ferdynand nie chciał zakłócać smutku córki i matki. Gdy nakoniec odwiedził je, wszystko było jak wprzódy. Adela, w żałobnej sukni malowała, pani Moran spała w swoim pokoju. Dawne życie, rozmowy o sztuce, marzenia o tryumfach w Paryżu — wszystko poszło dawną koleją. Tylko że młodzi ludzie zbliżyli się jeszcze bardziej. Lecz nigdy słowo poufałości, nigdy wyraz miłości nie zamącił ich czysto intelektualnej przyjaźni.

Raz, wieczorem, Adela jeszcze poważniejsza niż zwykle — wyjaśniła rzecz otwarcie, pilnie wpatrując się w Ferdynanda swojemi jasnemi oczyma. Dostatecznie go już poznała, czas było powziąć jakąkolwiek decyzję.

— Posłuchaj mnie pan — powiedziała. — Dawno już pragnę pomówić z panem o pewnym projekcie... Teraz ja jestem sama. Matki mojej nie liczę. I pan mi wybaczysz, że będę mówiła otwarcie.

Słuchał nie rozumiejąc. Wtedy, niezmieszana, z godną uwagi jasnością, wyłożyła mu cały stan rzeczy, wspomniała o jego ciągłych skargach. Brakowało mu tylko pieniędzy. Gdyby tylko miał konieczne na początek środki, mógłby mieszkać i pracować w Paryżu — i za lat kilka byłby znakomitym.

— Tak więc — kończyła — pozwól mi pan przyjść zobie z pomocą. Ojciec zostawił mi 5000 franków dochodu, któremi mogę rozporządzać, jak mi się podoba, gdyż przyszłość mojej matki jest również zabezpieczoną. Jam dla niej niepotrzebna.

Lecz Ferdynand oburzył się. Nigdy nie przyjmie podobnej ofiary, nigdy nie zdecyduje się ograbić ją. Spojrzała na niego uważnie, widząc, że jej nie rozumie.

— Pojedziemy do Paryża — dodała z namysłem — przyszłość w naszem ręku...

Potem, widząc jego zdumienie, uśmiechnęła się i uścisnęła mu dłoń, mówiąc z serdeczną prostotą:

— Czy chcesz się ze mną ożenić, Ferdynandzie?... Wszak ja będę obowiązaną tobie, a nie ty mnie; wiesz przecież, jaką jestem ambitną; zawsze marzyłam o sławie, tybyś mi dał sławę.

On mówił coś bez związku, nie decydując się jeszcze poddać tej nagłej propozycji, gdy Adela spokojnie wykładała swój plan, oddawna dojrzały i obmyślany. Następnie z macierzyńską czułością żądała od niego tylko jednej przysięgi: obietnicy dobrego prowadzenia się. Geniusz nie idzie w parze z bezrządem. Zarazem dała mu poznać, że wie o jego hulankach, że to jej nie zraża, lecz oczywiście musi się poprawić. Ferdynand doskonale zrozumiał, jakiego rodzaju umowę proponuje mu Adela: dostarcza mu pieniędzy, on zaś

obowiązuje się dać jej sławę. Nie kochał jej, w tej chwili nawet czuł do niej wstręt prawdziwy. Z tem wszystkiem upadł jej do nóg i dziękował, nie mogąc znaleźć nic innego do powiedzenia, jak frazes, który fałszywie zabrzmiał w jej uchu:

— Ty będziesz moim aniołem-stróżem!

Jakkolwiek zimna, Adela oddała się porywom namiętności; rzuciła mu się na szyję i obsypała go pocałunkami; wszak ona go kochała, zachwycona pięknością młodego blondyna. Drzemiąca namiętność obudziła się. W układzie tym brało udział i długo tłumione uczucie. Po upływie trzech tygodni, Ferdynand Sourdi był żonaty. Uległ nie tyle rachunkowi ile konieczności i całemu rzędowi faktów, z których nie mógł się wyplątać. Zapasy farb i pędzli sprzedano sąsiadowi, kupcowi papieru. Pani Moran, przywykła do samotności, pozostała na to wszystko zupełnie obojętną. I tak, młoda para udała się do Paryża, zabrawszy z sobą »Spacer», i porzucając Mercoeur, oszołomiona tak nagłem rozwiązaniem rzeczy. Panny Levêque mówiły, że pani Sourdi w sam czas pojechała do Paryża na kurację.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BOYCOTT.

Odwieczny zatarg ludu z panami odżył na nowo w Irlandji i lada chwila grozi wybuchem...

Biedna Irlandja! biedny lud irlandzki!

Pozbawiony oświaty, mienia, jest on tylko czasowym czynszownikiem, chwilowym dzierżawcą roli zroszonej potem jego dziadów, na której pędzi teraz zycie w straszliwej pracy i w strasznicjszym jeszcze niedostatku.

Nędzna lepianka o jednej izbie, gdzie człowiek razem z bydlęciem się mieści, bywa najczęściej Irlandczyka mieszkaniem, ziemniaki codzienną strawą, a przekleństwo pacierzem...

Przytem widzi on na każdym kroku, że państwo po macoszemu go traktuje, że ci dla których krwawa idzie jego praca, opływają w dostatki i trwonią pieniądze po za granicami kraju; żżyma się więc i burzy!

Lud irlandzki — to materjał zawsze gotowy do wybuchu, a Irlandja — to ojczyzna tajnych towarzystw i spisków.

Rzucając iskrę zawsze można być pewnym, że padnie na palne materjały.

Dziś Irlandja jest bliższą niż kiedykolwiek strasznego pożaru wojny domowej, iskra już bowiem padła z ręki deputowanego Parnella.

Parnell, przywódzca ligi rolnej (agrarnej), marzy o oderwaniu Irlandji od Anglji, a wiedząc jak i gdzie uderzyć, dopiął swego.

Liga rolna z każdym dniem zyskuje coraz więcej zwolenników i coraz groźniejsze przybiera rozmiary, udaremniając na razie dobrą wolę rządu, który poczyna myśleć o reformie rolnych stosunków w Irlandji.

Dziś Parnell pociągnięty został do odpowiedzialności za przestępstwo stanu, wraz z kilkunastoma przewódcami i agitatorami ligi, co rozdrażniło tylko bardziej jej stronników.

Wre więc w Irlandji, a jako obraz teraźniejszego jej położenia, zagraniczne dzienniki podają zastanawiająco ciekawe szczegóły o kapitanie Boycocie.

Kapitan Boycott jest rządcą dóbr lorda Ernel'a w zachodnio-irlandzkiej prowincji Connaught, która dotąd bezwątpienia zachowała najbardziej irlandzki charakter.

Boycott obchodził się podobno dobrze ze swymi czynszownikami, ale przed niedawnym czasem był zmuszonym wypowiedzieć jednemu z nich dzierżawę, co, rzecz prosta, oburzyło stronników ligi.

Miano go odtąd na oku...

Tymczasem Boycott w swym domu daje przytułek woźnemu, którego ściga liga za to, że wręczył wezwanie owemu czynszownikowi.

Dwa te fakta wystarczyły, aby liga ogłosiła kapitana Boycott'a, jako wyjętego z pod prawa, czyli po prostu skazała go na odosobnienie od reszty ludzi...

Służba, wszyscy, literalnie wszyscy odsunęli się odeń i kapitan wraz z swoją rodziną pozostał żyjącym trupem w pośród świata...

Liga utworzyła koło niego prawdziwy stan oblężenia; nikt nie śmiał się doń zbliżyć, a kapitan nie odważał się wychylać nawet po za próg swego domu, by nie spotkać się z kulą.

Trwało to kilka tygodni...

Nakoniec policja zdecydowała się pomódz oblężonym w wykopaniu ziemniaków, gdyż kapitanowi groziła straszna śmierć głodowa...

Ziemniaki kopała rodzina kapitana, żona, stiostry, córki — biedne panny w rękawiczkach — pod asekuracją bagnetów milicji!

Tymczasem wieść o losach Boycott'a rozchodziła się szeroko, budząc współczucie w przeciwnikach ligi.

Dwustu robotników angielskich z Limericku umyśliło przyjść mu z pomocą, rząd jednak obawiał się starcia.

Postanowiono przeto, że pięćdziesięciu bezbronnych robotników, dobrze zaopatrzonych w żywność, uda się do mieszkania Boycott'a i że rząd będzie czuwał nad nimi...

Początkowo robotnicy mieli się udać morzem; porzucono jednak ten zamiar po bliższej rozwadze z obawy, aby kapitan statku nie był tajnym członkiem Ligi; cóż wówczas bowiem prawdopodobniejszego nad wysadzenie ich w powietrze wraz z żywnością i okrętem?

Obrano więc drogę lądową, koleją, przyczem zachowano możliwe środki ostrożności.

Przed pociągiem biegła luźna lokomotywa, na wszystkich zaś stacjach zebrano pełno policji, której w okolicy było około siedmiu tysięcy!

Od ostatniej stacji do folwarku robotników konwojowało przeszło czterystu żołnierzy z bronią w ręku, gotowych w każdej chwili do boju...

Pochodowi towarzyszyło kilka tysięcy stronników Ligi, klnąc i złorzecząc, wyjąc i gwiżdżąc przeraźliwie, przyczem obeszło się jednak bez starcia.

Po dwugodzinnym marszu ujrzano przed sobą dom kapitana...

Boycott, blady, uzbrojony od stóp do głowy, wyszedł na ganek, witając swych wybawców.

Dziś pod osłoną bagnetów, przy akompaniamencie całej orkiestry przekleństw ligistów, rozpoczęły się roboty na folwarku, a filolodzy angielscy notują nowy wyraz, wchodzący w ogólne użycie: »*zboycotować* kogoś.«

Żart jednak na stronę.

Co bowiem Anglja zrobi, jeżeli więcej będzie podobnych wypadków, jeżeli *zboycotowane* zostaną setki lub tysiące, gdy dziś, dla osłonięcia robót na jednym folwarku, dla zaopatrzenia w żywność jednej rodziny potrzeba było siedmiu tysięcy żołnierza?

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Księżna Gorysława, dramat w 5 aktach, przez Juljana Moërs z Poradowa. Pisa 1880.

(Dokończenie)

Historyk polski Szajnocha początek Lechitów wywodzi od Normandów; może on mylić się co do identifikowania ich ze słowianmi Lechami, co do wpływu wszakże praw normandzkich wszystkie ma za sobą podobieństwa. Jak prawo cywilne francuskie przeszło w pojęcia i stało się polskiem, tak niegdyś organizacja polityczna Normandów mogła wpłynąć na słowiańską. Jarzmo Waregów Waragów (wyrazy pochodnie wróg, nieprzyjaciel, w języku polskim, wriag, wor, złodziej w języku rosyjskim tego probują) mogło być i było ciężkiem, ręka nielitościwa; mimo to przynieśli oni element cywilizacyjny, przyczynili się do zszeregowania plemion, potworzyli chcąc czy nie chcąc oddzielne koła narodowości, potrzebne do harmonji ogólnej. Normandzkie pochodzenie pierwszych książąt ruskich zaciera się rychło, pozostaje tylko to, co było koniecznem w danej chwili, organizacja polityczna i tak fakt historyczny objaśnia logikę historji.

Figury normandzkie w dramacie tętnią krwią i życiem, przedziwnie pięknie narysowane przedstawiają nie osobistości, ale jakeśmy powiedzieli elementa i idee. Jeden Mohyła blizki nam jest uczuciem, ale i ten wyziera niby postać ze starej Ballady albo z owych złotych Rapsodów Ossianowej pieśni, na pół widzialny z poza drutów druidyckiej harfy na salach posiwiałych w bojach bohaterów. Pieśń jego przypomina Igorową wyprawę na Połowców rytmem i zwrotami słowiańskimi:

O Nowogrodzie! Kędyż twoja chwała,
Kędyż twe szczęście, wielki Nowogrodzie?
Twoja starszyzna, o rozkoszny grodzie,
Z Bełtów bursztyny, z Azji złoto brała.
Kędyż książęta, Polocka, Kijowa?
Władcy Witebska, rozległego kraju,
Kędyż swoboda i rada ludowa,
Wyższa nad wolę kniazia po zwyczaju *).
Wolność, ach! wasza i szczęście i chwała,
Pod wroga tchnieniem jak sen się rozwiała.
Zostało tylko wspomnienie... mogiły...
W polu mogiły nad poległych zwłokiem,
W sercu mogiły na grobie nadziei,
I ja mam spiewać — jakiejż trzeba siły
Aby w świat zmarłych pewnym zstąpić krokiem,
Głosu jakiego, by lecąc w przestrzeni
Lody rozbijał skrzydłami orlemi,
I nie zaginął w śnieżystej zawiei.
Serca jakiegoż potrzeba z granitu,

*) Kniaź, Kunigas, Kunig, Koenig, wyrazy jednego pochodzenia skandynawskiego kniga, księga książę, ksiądz itp.

*

By w spiew złączywszy nurodowe żale,
Wieść łódź rozbitą przez rozpaczy fale,
I wskazać promień nadziei u szczytu.
Z wieżyc Połocka płacze Gorysławna,
— Pocóż me życie wrogi oszczędzili,
Gdy cię straciłam rodzino przesławna,
Kiedy odeszli wszyscy sercu mili?!...
Druhami mymi tylko mogił kwiaty,
Kędy co nocy przynoszę obiaty.
Kiedyż ofiara duchy uspokoi?
Kiedyż zranione serce się zagoi?!
Przyleciał sokół srebrny od północy,
Brat Gorysławny; «siostro, nadaremnie
Ofiary składasz; nie w twojej to mocy
Modłami zrzucić te okowy ze mnie» —
Od wschodu zleciał orzeł złotopióry,
Jej narzeczony i tęsknie się żali:
«Nie mogę wzlecić ku słońcu nad chmury,
Bo mnie krępują łańcuchy ze stali.»
Przyleciał gołąb siny od zachodu,
Księżniczki ojciec a drżący od chłodu:,
«Co nam pomogą, córko, twe westchnienia?
Obiaty płyną na pustej mogile,
Łzy twe nas palą a bolą cierpienia,
Próżno na zemstę czekamy lat tyle...
Co nam po miodzie, wrogów krwi nam trzeba...

W rytmie, w obrazowaniu, we zwrotach widać tu przejęcie się głębokie pieśniami i podaniami słowiańskiemi, ta Gorysława toć to siostra i owej Ludgardy, która z wieży posyła żale za swoim krajem »*Polećcie wiatry do wschodu*« i owej Aldony, która podobnież z okna wieżycy wygląda utęsknionym wzrokiem chwili zemsty na nieprzyjacielu potomku może tychże samych Skandynawów.

Serce i potok zaklinać daremnie,
Dziewica płacze i Wilija bieży,
Wilija niknie w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczej wieży.

Cały akt pierwszy składa się na to przedziwne malowidło życia i obyczajów owych zamierzchłych Słowian, żaden z poetów polskich dokładniej i lepiej ich nie wyspiewał. W pryzmacie poetycznej wyobraźni powstaje przeszłość taka, jaką sobie przyszłość daleką kształtuje poeta; prawdziwa w wiekach minionych o tyle, o ile wiernie trzyma się przyrody i narodowych instynktów, podniesiona, zidealizowana o całą wysokość myśli wyrobionej wiekami i dla tego jest ona razem zwierciadłem dni przeszłych i blaskiem przyszłych, ku którym wybiega serce poety, przyszłości tej nie mogąc sobie wyobrazić inaczej, jak tych samych rysów; ale jest to podobieństwo takie, jakie twarzom zmarłych ukochanych rodziców daje apoteza obchodzona przez szlachetnych potomków.

Pozioma krytyka upatrywała w romansach Walter-Scotta dążność powrotu do wieków średnich, najfałszywsze to pojęcie; to co odtwarza poeta w pieśni, złoży się na piękną przyszłość, ale już w przemienionych, idealizowanych formach; to co było złem, nie powstanie, to co było pięknem i dobrem, wejdzie jak ów motyw w skład wielkiej kompozycji, ożywiający całość i przypominający się w cały jej ciągu.

Odkrycie Królodworskiego rękopisu, wydanie przez Musina Puszkina pieśni o pułku Igorowym, bogate zbiory pieśni gminnych słowiańskich inicjowało Augusta Bielowskiego i Lucjana Siemieńskiego w epoki odległe, a za nimi wszystkich, którzy strunę lutni Słowiańskiej zarosłą stepowem zielskiem, wtłoczoną w ziemię kopytami najezdniczych plemion, oczyścili i mistrzowską na niej położyli rękę. Pieśń kaledońska Makfersona, zbiór pieśni Bardów p. t. Pieśni Ossjana nie dokazały tego w Anglji; jest to proces myśli poetycznej skandynawskiej, której wyobrazicielami najwyżej natchnionymi byli Oelenszleger i Tegner i słowiańskiej, a dziwne to zaiste i jakby opatrznościowe to zmartwychwstanie pieśni jednoczesne po wiekach milczenia; w antagonizmie wiecznym wciąż te same głosy powstające naprzeciw sobie, ale już układające się w całość powszechną, już ze świadomością o możności egzystencji, bez szkodzenia sobie na wzajem.

Ale wracając do naszego przedmiotu, przypatrzmy się i rozbierzmy kreacje dramatu, nie spuszczając z oka myśli naszej przewodniej.

Izasław i Włodzimierz w utworze naszego autora zgodnie z podaniami historycznemi traktowani, bliższymi nam są i więcej przypadającymi do ogólnego pojęcia, czasami nawet żałujemy, że w podobnym tonie autor nie trzymał Gorysławy, albo, że wszystkie kreacje swoje do niej nie dostroił. Mytyczny Włodzimierz i Izasław byłyby to potęgi idei, tak jak się obracają, są jak ludzie rzeczywiści, wśród cieni pięknego wyższego świata ale wśród cieni; Izasława w dramacie nie łączy wspólna nienawiść przeciw ojcu z matką i nic dziwnego, on nie rozumie jej nienawiści, on nie wie o niczem, duch jakiejś Słowianki nieszczęśliwej wyciąga ku niemu dłonie, pragnie go zatrzymać czemu? na co? czy żeby krzywdy jej się upomniał? nie. — Scena, w której rozbraja ramię ojca, w historji pełna tragicznego interesu, w dramacie nie umotywowana i to jedno może co pragnęlibyśmy, ażeby autor w przyszłych wydaniach uzupełnił, co zresztą łatwo mu przyjdzie inicjowaniem Izasława po pierwszej scenie w cierpienia matki i w jej do ojca nienawiść poczem rozwój sceny ocalenia żadnej by trudności autorowi nie przedstawił. Izasław inicjowany, dostroiłby się do tonu matki, a z nim Włodzimierz prowadzony zresztą genjalnie przez cały dramat i ostatnimi tylko słowami osłabiający całość swoją; owymi to zwróconymi do mnicha Greka:

Wiesz że ty kto odszedł?...
Półbogi znikły, ludzie pozostali,
Snuć tkankę życia spłowiałą i szarą.
Przeszłości wielka, ty znikasz w tym dymie,
Na miejsce twoje i cóż ja postawię?
Oko mgłą zaszło, chwieją się kolana,
Miecz jest za krótki a berło za kruche,
Chciałbym się oprzeć, daj mi kij twój mnichu!...
Idźmy jednoczyć ludy w imię krzyża,
W ziemi Połockiej niech Izasław włada...

Nie, Włodzimierz historyczny nie mógłby się tak wyrazić, dość przypomnieć sobie tę olbrzymią postać, dziką, okrutną do końca. On, od swojej idei normandzkiej, panowania mieczem nigdy nie odstąpił, religję jakąkolwiek pragnął wprowadzić, żydowską, grecką czy katolicką, byleby ta wspierała jego zamiary zjednoczenia ludów około tronu księcia; nie on krzyżowi, ale krzyż jemu ma służyć; duch to potężny, zupełnie równej wielkości, jeśli nie wyższy, od owych, przed którymi drżała Europa, napastników — miast przed oczami Karola W., którzy po powrocie z ziemi świętej opanowali Amalfi i założyli królestwo, rozciągające się aż do Sycylji. Włodzimierz należy do wielkich instruktorów armji, która w historji potworzyła państwa i instytucje, a które dzisiejsze dążności rozwiązują.

Zakończenie takie dramatu zaciemnia cel dzieła, wykazania dwu przeciwnych dążności, dwu plemion wrogich pomiędzy sobą. Z opuszczeniem tych kilku prześlicznych wierszy, dramat niewątpliwie na całości by zyskał; okrutnik, który za zabójstwo brata ofiarami krwawemi oblewał stopy swego bożyszcza o srebrnej głowie, bynajmniej nie korzył się i obrzydłym był w oczach ludu, wedle wyrażenia Karamzyna, czyniącego uwagę, że i poganie patrzeć nie mogli spokojnie na jego zbrodnie: nie przemienił on się ze śmiercią Rognedy, rychło potem pojął jakąś Czeszkę, z którą miał syna Światosława, z trzeciej żony ślubnej Światosława i Mścisława, z Bułgarki czwartej Borysa i Gliba; takim on jest w historji i taki godzi się z jego siłą i z nieugiętym charakterem Normanda.

Sens moralny dramatu autor wypowiada słowami Rognedy do Borysa:

Ucz Izasława naszych ustaw starych,
Niech wolnym ludom jarzma nie nakłada,
Niech w razie wojny obcego napadu,
Będzie dla Słowian wodzem, lecz nie panem.

Jeśliż w tych słowach nie ma całego programu Polski: króluj a nie panuj (Zamojskiego) słychać tu w tym muzycznym rytmie. Przyjmujemy waszą organizację, ale zachowujemy naszego ducha, taką jest myśl dramatu, w taki sposób autor odnajduje logikę historyczną i mądrość idei, prowadzącej całość społeczeństw.

Myliłby się, ktoby w Rosji dzisiejszej urzędowej te same normandzkie odnajdywał charaktery i któryby autora chciał pomawiać o zgodę z Moskwą i poddanie się jej na warunkach Gorysławy. Czasy są różne, albowiem i to co było normandzkiem i normandzko-słowianskiem w Polsce, przygłuszyły elementa mongolskie, ożenione z mieszczańskimi niemieckimi żywiołami, z którymi rozpiera się chwila obecna, a o której wypadku walki i zdobyczach na drodze rozwoju ogólno-ludzkiego nie nam dano jest wypowiedzieć słowo ostatnie...

Mnóstwo pojedyńczych piękności tego arcypoetycznego utworu podnosić, byłoby zbytecznem, każdy bowiem sam je oceni i uraduje się niemi, dość jeżeli powiemy, że jest to utwór wielkiego poety, zadający fałsz naszym estetykom dzisiejszym, usiłującym poniżyć ducha i twórczość własnego narodu pro bono pokoju i prac tak zwanych organicznych.

Dans les Colleges des Druidesses chez les nations Celtiques il y avait de prophetesses qui excitaient la confiance et l'enthousiasme des peuples, urząd ten trwa dotąd wśród Słowian, u których ręka, poruszająca wysokie tony pieśni, jedna obudza zapał i wiarę w siebie ludów, które bez tego przewodnika zapadłyby w ciemną i burzliwą noc anarchji.

Teofil Lenartowicz.

Kronika Tygodniowa.

Ubiegły tydzień, to jeden nieprzerwany ciąg uroczystości, obchodów, toastów, mów, deklamacyj i wszystkich tych rzeczy, które zająć mogą zarówno zmysły jak i uczucia ludzkie. Rozpoczął je nasz sympatyczny zawsze i gorącego uczucia autor dramatyczny pan Aureli Ur-

bański, wystawiając w teatrze skarbkowskim poemat dramatyczny pod napisem: „Dramat jednej nocy“. Dlaczego to ma być poemat tylko, tego nie rozumiemy; bo choć pisany jest białym wierszem, jednak posiada tyle warunków scenicznych, że nie powstydzi się pan Urbański, jeżeli przyzna się do czysto dramatycznego ojcostwa swojej jednej nocy. Gdy dzisiaj prawie wszystkie utwory naszych autorów, przeznaczone dla sceny, grzeszą właśnie brakiem znajomości tej sceny, pan Urbański pod tym względem jest niejako mistrzem. Utworom jego wszystko można zarzucić, prócz tego przymiotu. A cóż dopiero, jeżeli ostatni dramat właśnie posiada te przymioty, cechujące prawdziwy talent, który z całą bezwzględnością dla serc słuchaczy potrafi grać na nich i wzruszać i oburzać, podziwiać i zachwycać. Nie wdajemy się w szczegółowy rozbiór wartości, że tak się wyrazimy, wewnętrznej dramatu, bo mamy nadzieję, że specjalny nasz recenzent zrobi to za nas, lecz z obowiązku kronikarza, zaznaczamy fakt kompletnego powodzenia tej sztuki, która na długi czas jeszcze utrzyma się na tak wybrednej scenie, jaką jest scena lwowska. Nie chcemy szukać dokładnej znajomości i charakterystyki miejscowych stosunków, gdzie akcja się odbywa, bo przeciw temu wiele by powiedzieć można, jednak niepodobna odmówić p. Urbańskiemu znajomości ogólnej człowieka, a na tem tle dramat jego, mimo ogólno-ludzkiego kolorytu nic nie traci, lecz owszem daje szerszy daleko zakres grze uczuć i namiętności.

Utwór p. Urbańskiego, wystawiony w przeddzień uroczystości pięćdziesięcioletniego jubileuszu walki o niepodległość, był do niej prologiem. Jakoż dnia 29. listopada już o godzinie 9tej zrana zapełniono kościoł dominikański, i galerje i cały plac przed kościołem, w którym czcigodny ks. opat Nowakowski, były oficer artylerji z roku 1831, odprawił żałobne nabożeństwo za zmarłych weteranów ostatniej polskiej armii.

Wszystkie stany społeczeństwa naszego były na niem reprezentowane, prócz tych osobistości, które zawsze i wszędzie wszystkiego się boją... Poczciwe, zacne i duchem prawdziwego patryotyzmu ożywione mieszczaństwo lwowskie było tu pierwszem, nie biorąc w rachubę samych mieszkańców, którzy w liczbie prawie dwustu zebrali się na tę uroczystość. O godzinie 11tej z rana, w sali kasyna mieszczańskiego, zgromadził się ten cały zastęp starców odmłodzonych w tej chwili tyle drogiemi dla nich wspomnieniami. Na czele zasiadła jeszcze większa starszyzna, dwóch belwederczyków, pp. Paszkiewicz, mieszkający w Rumunii, i Rettel, przybyły na tę uroczystość z Paryża jako delegat od tamtejszych weteranów. Spodziewamy się, że nie żałują swojego między nami pobytu i że wspomnienie tej chwili, w której miasto nasze oddało cześć ich bohaterstwu, nie zatrze się nigdy w ich pamięci.

Na estradzie zasiadł komitet, muzyka Harmonii zagrała marsz wojenny, chór męzki z akompaniamentem Towarzystwa muzycznego odśpiewał przecudną kantatę do słów K. Ujejskiego, a wzruszenie i nastrój uroczysty jeszcze bardziej wzrosły, gdy po przemówieniu pp. Hausnera i Szmita rozpoczął się apel starych wiarusów, którym rozdawano medale i dyplomy, na tę uroczystość umyślnie przysposobione. — Przy więcej znajomych nazwiskach publiczność biła zawzięte brawa, a serce rosło u starców, którzy zapewne raz ostatni w takiej liczbie stanęli do tego apelu... Były tu wszystkie rodzaje broni reprezentowane, nawet dwóch dzielnych czwartaków wyciągnęło rękę po medal. Niech żałuje każdy, który tej sceny nie widział; było to coś więcej niż wspaniałego, więcej niż rozrzewniającego — było to uczucie powagi i siły, żywotności i nadziei, dumy narodowej i ciepła odczutego żywszem krążeniem krwi, która na długie lata orzeźwi, gdy myśl zwątpienia zanadto wkrada się do serca.

A wieczór ta serdeczna uczta w salach ratuszowych, te toasty, pełne zapału i ognia, te wieńce i kwiaty, rzucane z galerji przez damy, ten entuzjazm, uściski, płacz szczerej radości starców i uczucie prawie religijnej czci dla bohaterów przedpółwiekowej walki...

Cała ta uroczystość, pomimo obaw i przeszkód stawianych komitetowi — odbyła się tak, jak w gronie ludzi czujących swoją godność, ludzi dojrzałych politycznie i życiowo, w granicach możebnej jawności odbyć się może, z tem przekonaniem, że sprawa dobra i święta, sprawa walki o byt i życie, znaleść musi uznanie nawet tam, gdzie inne względy nakazywaćby mogły niejaką oględność. Dlatego nie możemy jak tylko oddać dank i uznanie Wydziałowi krajowemu, że i w tej chwili uroczystej z całem poczuciem wybrańców narodowych reprezentował godnie ten naród, jak również członkom Koła polskiego w Wiedniu, którzy, mimo różnicy opinij politycznych, nadesłali telegram podzielający z nami te uczucia rzewnych wspomnień naszej przeszłości.

Udało się więc wszystko i ładnie i składnie, i serdecznie i z powagą, co sądzimy będzie na przyszłość najlepszą rękojmią dla tych sfer, gdzie pewne niedowierzanie dla nas panowało, że Polacy potrafią godnie czcić swoje ideały przeszłości i nie zapominać o obowiązkach teraźniejszości.

Jakże więc w obec takich objawów wypadł blado, i niezręcznie manewr braci Rusinów, pragnących demonstracją innej uroczystości sparaliżować nastrój obchodu 29. Listopada 1830 roku. Sprowadzono kilkuset włościan ruskich do sali Narodnego domu na ów zapowiadany wiec, aby wygłosić mniemane krzywdy, jakich narodowości ruska ma niby od nas doświadczać. Czytaliśmy ten przygotowany naprzód dokument obejmujący rezolucję wiecu, i doprawdy nie wiemy, czemu się więcej dziwić, czy odwadze tych panów przywódzców, maskujących pod pokrywką lojalności do panującego domu — jak szydło z worka wyłażące tendencje, wiejące od Wschodu, czy tak dziecinnie kłamanym skargom na ucisk narodowości ruskiej — której nikt nie widzi ani czuje. — Panowie ci, nie można zaprzeczyć, mają nie wielkie żądania. Ani mniej ani więcej, tylko chcą, żebyśmy zabrawszy swoje manatki, wynieśli się ze Wschodniej Galicji, na Zachód — ale jak daleko, to sami jeszcze nie wiedzą. Szanowni panowie przewódzcy, i patrjoci ruskiego narodu! A któżby tu został we Lwowie jak by nas nie było? Podług nas, to jest daleko krótsza sprawa i dla was z pewnością korzystniejsza — nie narażająca na tyle cierpień, rozpaczy, ściskania serca i t. d. Oto w kilkudziesięciu, bo zdaje się, że więcej was nie marcofnijcie się sami do źródła waszych ideałów, tam dalej ku wschodowi. Po co tyle się martwić patrząc na ucisk tych poczciwych kmiotków żyjących tu z nami w zgodzie już od pięciu wieków! Wam źle tutaj — idźcie za przykładem poprzedników apostolujących w ziemi chełmskiej. Tam was przyjmą z otwartemi rękami jako powracających na łono wspólnej prawosławnej matki, dadzą rubli i fioletowe kołpaki nadzieją na głowy... Wolna droga... tam po polsku nie będą uczyć waszych dzieci, a jeżeli zechcą ich wieszać — to po carsku, jak Lisogubowych itp. z muzyką narodową i asystencją kozacką. My tyranizujący was, Polacy, sami mało co mamy i z tem się dzielimy — dobre słowo, przyjacielską dłoń do wspólnej sprawy — podajemy szczerze. Mało tego? — więc na Wschód!...

Naturalnie, że wobec takich uroczystości i wspomnień z przed pięćdziesięciu laty, zwyczajny obchód rocznicy śmierci Mickiewicza, urządzony przez młodzież naszą z Czytelni akademickiej, nie wypadł w tym roku tak świetnie pod względem liczby uczestników jak innych lat. Był to wyjątkowy wypadek, który bynajmniej nie zmniejsza zasług zacnej młodzieży naszej, lecz owszem czyni im zaszczyt wytrwałej pamięci w dniu tak samo smutnym i drogim dla całej Polski.

O ile słyszeliśmy, sprawa pomnika wieszcza, na który już złożono przeszło dwadzieścia tysięcy guldenów już w roku przyszłym wejdzie w czyn, a choć fundusze te nie wystarczą, to nie trzeba wątpić, że jak się zacznie robota, brakującą sumę złoży publiczność, aby raz już genialny nasz poeta spoglądał z miłością na wdzięcznych ziomków w swej własnej ziemi — stał i błogosławił i obudzał zapał, choćby na przekorę pożarnej straży krakowskiej.

* * *

(P) Ktokolwiek zna Wilno i jego okolice, nie może nie znać jego pysznych cmentarzy, z których „Rosa“ bezwątpienia do najpiękniejszych w kraju należy. Położony śród uroczej miejscowości, ocieniony wiekowemi sosny i zieloną dąbrową brzóz i dębów, urozmaicony falistością wzgórz i dolin, o tajemniczej głębi cieniów, o ginących w sinej dali widokach jakby pozujących dla mistrza krajobrazów, zdaje się raczej być parkiem jakiejś królewskiej rezydencji, niż miejscem smutku, niż rezydencją śmierci, gdyby nie cisza uroczysta i rzewna, co tam śród mogił osłonionych krzyżem zaległa.

Na tym to cmentarzu, śród wielu znakomitości litewskich, spoczywa od r. 1814 Euzebiusz Słowacki, profesor literatury polskiej w Uniwersytecie wileńskim *ojciec Juljusza.*

Czas, ostatnich lat wypadki, a najprawdopodobniej zła wola, co nawet i bezbronnym grobom nie przepuszcza, sprawiły, że z pomnika wzniesionego mu niegdyś, zaledwie szczątki pozostały. Nim wszakże zatarł się ślad jego ostatni, gorliwość ludzka, a z nią cześć i miłość ta sama zapewne co przed wieki zbierała krople krwi i szczątki męczenników, śród rzymskich cyrków — dziś, idąc za śladem szubienic i zniszczenia, dokonanego mściwą ręką przemocy, w pełni XIX wieku, — postarała się też i ów grób odszukać i odnowić. Oto co nam donosi list z Wilna świeżo otrzymany:

„Kamień na grobie śp. Euzebiusza już stanął, czyli raczej jest już w objęciu starego, i wygląda dla mnie, jakby przeszłość zasługi splotła się z obecnością pamięci — i umacnia ją. Przez dni kilkanaście, dwa razy dziennie, bywałem na miejscu, dyrygowałem robotą i mo-

gę Cię pocieszyć, że rzecz wyszła bardzo zajmująco — bo i pięknie i poważnie, co każdy przyznał kto to na miejscu oglądał.

Tak więc grób ojca Juljusza w Wilnie odnowiony. Zaprawdę, miło nam tę wiadomość podać czytelnikom.

Winniśmy dodać, że w odnowionym nagrobku, zachowano kształt ten sam, jaki dawniej posiadał, to jest kształt piramidy ściętej, z dzikich głazów granitu ułożonej, której stronę główną przysłoniono teraz nową bryłą kamienia z napisem stosownym, dodawszy wiersz następujący, który Euz. Słowacki na krótko przed zgonem był napisał.

Wędrowiec w drodze życia mdłą stargawszy siłę,
Wkrótce rzucę co miłe — i co mi niemiłe.
Bez trwogi — nie bez żalu — widzę kres zbliżony,
Który z nagła w nieznane przeniesie mię strony;
W tę uchronę spokojną, gdzie wieczność przebywa,
I którą chmura pełna tajemnic pokrywa.

* * *

P. Karol Estrajcher wydał w tych czasach nadzwyczaj ciekawą broszurę p. t. „Wawrzyniec Puttkamer“. Na podstawie rękopisu znajdującego się w Bibljotece Jagielońskiej, autor przedstawia nam męża Maryli i przyjaciela Mickiewicza, jako osobistość zajmującą w gronie obywatelstwa litewskiego wybitne stanowisko. Uczestnik w młodym wieku wielkiej epopei Napoleońskiej, przebiegł prawie całą Europę i przejął się głęboko wolnomyślnemi zasadami Zachodu. Wróciwszy do kraju sprawował różne urzędy obywatelskie, a w r. 1846 jako marszałek lidzki energicznie bronił praw włościan, na co sarkając szlachta „marszałkiem chłopów“ go nazywała — tytół, którym się szczycił, chociaż mu go nadano w znaczeniu pogardliwem. Słowem Puttkamer był człowiekiem nie tylko stojącym na wysokości swojej epoki ale nawet prześcigającym o wiele pojęcia współczesnych, skoro jeszcze w r. 1818, na sejmiku grodzieńskim, jako delegat z powiatu nowogrodzkiego, zażądał uwłaszczenia włościan.

Takim był mąż Marji Wereszczakówny, postać niepoetyczna może ale zacna i niepospolita — a która dotychczas mało była znaną, lub mylnie ocenioną.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** „Życiorysy uczestników powstania listopadowego“, opracowane z wielką starannością przez p. Hieronima Kunaszewskiego, wyszły z druku nakładem komitetu jubileuszowego. Skład główny tego pamiątkowego dzieła, z którego dochód przeznaczony jest na weteranów 1831 r. — znajduje się w księgarni Polskiej.

*** Taniego wydawnictwa „Bibljoteki mrówki“ wyszedł tomik 104, zawierający znakomity poemat Władysława Syrokomli p. t. „Zgon Acerna“.

*** Lwów i Kraków równocześnie powzięły myśl wydania pisma zbiorowego, na rzecz dotkniętych trzęsieniem ziemi, nieszczęśliwych mieszkańców Zagrzebia. W tych dniach właśnie, tutejsze „Koło literackie“ rozbierało kwestję tego wydawnictwa, do którego wybrano już specjalną redakcję, składającą się z prezesa i wydziału, oraz czterech członków „Koła“ pp. dr. Ćwiklińskiego, Wł. Kozłowskiego, Młodnickiego i Zagórskiego. W chwili rozpoczęcia obrad nad tym projektem nadszedł telegram z Krakowa, od tamtejszego „Koła literacko-artystycznego“ z propozycją wzajemnego połączenia się w jednej i tej samej pracy. Projekt ten w zasadzie najprzychylniej przyjęty przez „Koło lwowskie“ oddano do rozwagi Wydziałowi i wybranej redakcji.

*** „Dziady“ na obchód półwiekowej rocznicy powstania narodu polskiego, w dniu 29. listopada 1830 r.“ Pod tym tytułem wyszedł poemat, napisany przez weterana w Krakowie.

*** W Warszawię świeżo ukazał się pierwszy zeszyt powiastek historycznych dla ludu naszego, pisanych i wydawanych przez Józefa Grajnerta.

W zeszycie tym mieszczą się dwie powiastki, a mianowicie: „Dwaj bracia Litwini“ oraz „O księciu Dymitrze i o Hryciu Rusinie.“

*** „Przyrodnik, dwutygodnik popularny, wychodzący w Tarnowie, ukończył znakomitą pracę dr. F. Mohra o węglu kamiennym, przełożoną na język polski przez Macieja Wszelaczyńskiego. Jest to rzecz napisana z całą znajomością przedmiotu, gruntownie i wyczerpująco.

*** W Brodach, nakładem J. Rosenheima wyszło z druku dziełko napisane przez p. Adolfa Juljusza Gawalewicza, pt. „Theodorichs des Grossen Beziehungen zu Byzanz und zu Odovakar“.

*** P. Władysław Ciesielski, napisał broszurę p. t. „Slavia“ Bank wzajemnych ubezpieczeń w Pradze i jego czynności w Galicji. W broszurze tej, p. Ciesielski podaje wiele faktów rzucających niekorzystne światło na operacje tego Banku u nas.

*** Encyklopedji wychowawczej wyszedł V. zeszyt, obejmujący początek „Arytmetyki“ p. W. Trybulskiego.

*** Jeden z młodych pracowników pióra zamierza ogłosić drukiem obszerną rozprawę, pod tytułem: „Stan ekonomiczny W. Księstwa warszawskiego.“

Materjały do studjum tego czerpane są z licznych źródeł archiwalnych.

*** Jan Sobieski w poezji staro-chorwackiej. Z artykułu p. Bronisława Grabowskiego, pod tytułem pomienionym, dowiadujemy się, iż pamięć o bohaterze naszym, Janie IIIcim, przechowała się nietylko w poemacie Piotra Kanavelicia, o którym już pisaliśmy, lecz żyje także i w ich *bugarszticach*, tj. w pieśniach ludowych.

Jedna z owych pieśni staro-chorwackich znajduje się w bibljotece południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu, a ułożoną była wkrótce po odsieczy Wiednia, podobno przez pewnego księdza katolickiego, jak przynajmniej utrzymuje prof. Bogiszić.

Inne znów pieśni, w których także jest mowa o tryumfie Sobieskiego, mieszczą się w zbiorku, wydanym w roku 1874 w Zagrzebiu przez księdza Łukasza Ilicia Oriowczanina, pod tytułem: „Wawrzyny gradiskiego pułku graniczarów nr. 8 wyśpiewane w pieśniach ludowych“.

Jest jeszcze jedna pieśń o wybawieniu Wiednia, zawarta w *pismaricy* (piosenniku) ks. Andrzeja Kaczicia Mioszica, będącej tem dla południowych słowian, czem dla nas są „spiewy historyczne“ Niemcewicza.

W pieśni tej jednak Jan III występuje tylko epizodycznie.

*** Młody uczony p. Wierzbowski, bawiący w Rzymie, wydał po łacinie „Poczet legatów przybocznych, nuncjuszów, delegatów, komisarzy, poborców dziesięciny, głosicieli lauciat apostolskich, inkwizytorów heretyckiej złości w Polsce od 1073 do 1794 r.“ materjał suchy ale bardzo ważny.

*** Towarzystwo Jezusowe w Londynie zakłada pod patronatem kardynała Manninga, dziennik protestujący, redagowany w języku francuskim; czwarta strona dziennika pomieszczać będzie dla jezuitów „różnych prowincyj“ korespondencje w innych językach.

*** Ostatni romans Beaconsfielda nosi tytuł „Nowy Endymion“.

Nauka.

*** Na posiedzeniu komisji antropologicznej krakow. A. N. zawiadomiono o wydaniu 4-go tomu „Zbioru wiadomości do antropologji krajowej“ tudzież o nadesłanych zbiorach zagadek z okolicy Kielc (ks. Siarkowski), etnograficznego opisu obchodu Kupała z Ukrainy (Józefa Moszyńska), spostrzeżeń antropometrycznych z Czortkowa, Kulparkowa, Krzeszowic, Turki, Złoczowa, Wiśnicza.

*** Na posiedzeniu wydziału filozoficznego A. N. w Krakowie czytał p. S. Smolka, „O testamencie Krzywoustego“.

*** Podczas zjazdu przyrodników i lekarzy w Krakowie (wrzesień 1881 r,) ma być także urządzoną wystawa przyrodniczo-lekarska.

Sztuki Piękne.

*** Na wystawie akademji sztuk pięknych w Petersburgu zwraca uwagę powszechną duży obraz Stefana Bakałowicza, syna nieodżałowanej artystki dramatycznej.

Płótno przedstawia: „Abrahama, poznającego zakrwawione suknie Józefa...“

Znawcy oddają wielkie pochwały tej kompozycji iście natchnionej.

*** W Krakowie, na konkursie Towarz. św. Łukasza przyznaną została p. Adrjanowi Głębockiemu premjowa nagroda za akwarelowy rysunek św. Mikołaja.

*** Znany a pełen talentu malarz nasz Wilhelm Leopolski otrzymał w wiedeńskim Kunstvereine nagrodę br. Königswartera za obraz olejny „Nie chce się palić“...

*** W akademji sztuk pięknych w Petersburgu, po przedstawieniu prac konkursowych, uzyskali medale następujący rodacy nasi:

Na wydziale malarskim:

Medal złoty przyznano Stefanowi Bakałowiczowi.

Wielkie srebrne medale otrzymali: Kazimierz Dunin i Ignacy Rudowski, a małe medale srebrne: Teodor Buchholz, Jan Ciągliński, Jan Grejm, Stanisław Rostworowski, Ignacy Rudolf, Ignacy Rudowski.

Na wydziale architektonicznym:

Medale złote przyznano: Władysławowi Dąbrowskiemu, Adolfowi Emerykowi, Antoniemu Jabłońskiemu, Stefanowi Szylerowi.

Medale wielkie srebrne uzyskali: Adolf Emeryk, Antoni Jabłoński tudzież Antoni Wójcicki: małe srebrne zaś Piotr Brukalski, Eugenjusz Brzozowski, Józef Dietrich, Władysław Pławski, oraz Mikołaj Tołwiński.

Kurs nauk ukończyli:

Na wydziale malarskim: Kazimierz Gołębiowski, Hipolit Jawniszko, tudzież Miłosz Kotarbiński.

Ma wydziale architektonicznym: Eugenjusz Brzozowski, Karol Dąbrowski, Mikołaj Tołwiński.

Prócz tego p. Zenon Stefański otrzymał stopień malarza drugiej klasy, a p. Edward Jasieński stopień architekta klasy trzeciej.

*** Artysta-malarz Ludwik Wiesiołowski, który w roku zeszłym, jak wiadomo, uzyskał w akademji sztuk pięknych w Petersburgu medal złoty, obecnie dla studjów artystycznych udaje się do Włoch na koszt rzeczonej akademji.

*** P. Zygmunt Noskowski przybył do Warszawy i obrany został dyrektorem warszawskiego Towarzystwa muzycznego.

*** Donoszą z Drezna, iż w zeszłym tygodniu odbył się tam z niezwykłem powodzeniem koncert słynnego skrzypka Sarasatego, w którym wzięła także udział p. Ewelina Syrwidówna, artystka opery warszawskiej, bawiąca obecnie w stolicy saskiej na nauce u Lamperti'ego.

*** W Madrycie w kwietniu roku przyszłego otwartą zostanie wystawa sztuk pięknych, w której będą mogli uczestniczyć artyści wszelkich narodowości.

*** W roku przyszłym urządzoną będzie w Medjolanie światowa wystawa muzyczna.

Wystawa obejmie literaturę muzyczną w nutach, dzieła teoretyczne i historyczne, jak najdokładniejszy zbiór instrumentów starożytnych i współczesnych.

Urządzone też będą koncerta konkursowe, historyczne, oraz przedstawienia oper.

Z wystawą połączony będzie międzynarodowy kongres muzyczny z odczytami, konferencjami itd.

*** „Année artistique“, wychodzący w Paryżu, zamierza od roku przyszłego poświęcić 40 stronnic przeglądowi sztuki polskiej.

*** Józef Verdi.

W Medjolanie ukazał się „Almanach“, w którym czytamy, co następuje:

„Sobota, 19. października 1813 urodził się Giuseppe Verdi w Roncole, koło Busseto.

„Verdi, zgłosiwszy się do konserwatorium mediolańskiego dla zdania egzaminu i przedstawiwszy kilka ze swoich kompozycyj, napisanych w Busseto, uznany został, *ipso facto,* za niemającego żadnych zdolności muzycznych.“

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Pradze ukonstytuował się pod przewodnictwem burmistrza komitet, składający się z szefów obydwóch teatrów krajowych, stowarzyszeń śpiewu, redakcyj i stowarzyszeń studenckich obu narodowości, dla urządzenia wielkiego festynu na dochód Zagrzebia.

*** W pierwszych dniach listopada urzędnik stanu cywilnego w Albany, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, skojarzył związek małżeński pomiędzy dwojgiem nieobecnych oblubieńców.

Narzeczony w danej chwili znajdował się w Nowym Jorku, zaś jego najdroższa w Portlandzie.

Akt za pomocą drutu odbył się w ciągu 36 minut.

*** Rozwój przemysłu w Królestwie kongresowem nadzwyczaj szybko postępuje.

Właśnie dowiadujemy się, że w tych dniach z fabryki mebli giętych „Wojciechów“ wysłano znaczny transport wyrobów do Paryża, w skutek obstalunku ztamtąd otrzymanego.

Fabryka ta w ciągu roku sprzedała do cesarstwa rosyjskiego mebli przeszło za 200.000 rubli, zatrudnia w Wojciechowie 260 robotników, a w Warszawie 480, którzy wyprodukowali od lipca r. z. do tejże daty w r. b. sto tysięcy sztuk mebli.

*** W Busku odkryto dawną studnię i zdrój wody mineralnej. która nie posiada gipsu, a natomiast zawiera znaczną ilość siarczanu potasu i sodu, chlorek litynu i bromek wapnia, co ją czyni w wielu chorobach użyteczniejszą od wody zakładu buskiego.

*** Stowarzyszenie „Dindonophilów“, zawiązane za Ludwika XVI. we Francji, celem hodowli indyków, wydało monografję, obejmującą dzieje tego przemysłu. Indyk obwołany w niej jest jako król ptaków. Orzeł nie dorównywa mu powagą, a paw dumą. Słowik przewyższa go śpiewem, ale ustępuje w użyteczności.

Jeden indyk ginie jak człowiek, przez ucięcie łba, gdy innym ptakom podrzyna się gardło, jak zwierzętom.

Użyteczny ten ptak figurował w XVII wieku w menażerjach jako osobliwość — u nas w owym czasie „indyczkę“ oznaczała kusa, dworska szabla; niedługo ptak aklimatyzowany stał się popularnym w całej Europie.

Paryż w ciągu zimy konsumuje około 50.000 indyków.

Ptaka tego wprowadzili do Europy jezuici i do ostatniej chwili w specjalnych zakładach zajmowali się jego hodowlą.

Odkrycia i wynalazki.

*** Jeden z włościan wsi Balin, w powiecie rypińskim, podczas orki znalazł przypadkiem skarb...

Jestto jakieś dziwne naczynie, napełnione dawnemi arabskiemi monetami różnej wielkości i wartości.

Naczynie to, wielkości i kształtu zwykłej wazy, posiada tylko zwężenie u góry.

Razem z monetami, wogóle nader rzadkiemi i starożytnemi, znajduje się w naczyniu srebrny łańcuszek, który prawdopodobnie służyć mógł za pas..

Wykopalisko podobno znajduje się obecnie w ręku jednego z archeologów.

*** Dr. Kisslingowi w Bremie udało się rozwiązać kwestję usunięcia z tytoniu szkodliwych części składowych, mianowicie: nikotyny, bez uszczerbku dla aromatu i innych zalet.

Nikotyna bowiem wywołuje u palących niedyspozycję, a nawet rozdrażnienie nerwów.

Dowiedzioną rzeczą jest, że im cygaro delikatniejsze, tem mniej zawiera w sobie nikotyny.

Już ta jedna okoliczność przemawia przeciw mniemaniu, że cygaro traci na dobroci, gdy go się pozbawi nikotyny.

Wynalazek dr. Kisslinga stanowi zatem nową erę dla palaczy tytoniu.

Wynalazek jest patentowany, i w Bremie założoną już została fabryka wyrobu cygar bez nikotyny pod kontrolą chemicznego laboratorjum.

Zarazem otworzono w Berlinie sprzedaż hurtowną i szczegółową takiego tytoniu.

*** *Gorący lód.* O nadzwyczaj ciekawym eksperymencie angielskiego fizyka Th. Carnelleya, zapomocą którego powiodło się temu uczonemu rozgrzać lód w stanie skrzepłym, znajdujemy wiadomość w jednym z dzienników zagranicznych. Jak wiadomo, ciała znajdujące się w stanie lotnym, czyli gazy, przechodzą w stan ciekły czyli płynny, jeżeli się je podda odpowiedniemu, najczęściej bardzo znacznemu ciśnieniu. Wszakże ciśnienie, choćby najpotężniejsze, nie wystarcza do zupełnej kondensacji czyli skroplenia każdego ciała lotnego; od dawna już wiedzą o tem fizycy, że kondensacja zależy od poprzedniego spełnienia jednego jeszcze warunku, mianowicie od sprowadzenia mającego się skroplić gazu do pewnej temperatury, zazwyczaj bardzo niskiej, którą nazwano „krytyczną ciepłotą“ lub krytycznym punktem“ ciał lotnych. Gaz nie ochłodzony poprzednio należycie, odpowiednio do natury swej prężności, lecz przedstawiony w stanie cieplejszym niż właściwy mu moment krytyczny, pod największem nawet ciśnieniem nie nie przejdzie w stan płynny. Na odwrót też, według doświadczeń p. Carnelleya, nic nie pomoże sprowadzenie gazu do właściwej ciepłoty, jeżeli jednocześnie wywierane nań ciśnienie nie dosięgnie pewnej siły, którą rzeczony fizyk angielski nazwał „krytycznem ciśnieniem“, i tylko przy pomocy takiego ciśnienia odpowiednie ciepło może dokazać przemiany ciał ze stanu skrzepłego w ciekły a z ciekłego w lotny.

P. Carnelley dowodzi, że żadne w ogólności ciało skrzepłe nie dałoby się stopić samem gorącem, bez udziału owego krytycznego momentu ciśnienia, które jednakowoż bardzo często musi być znacznie niższe niż ciśnienie jednostki atmosferycznej, czyli innemi słowy: ciała n. p., przechodzące ze stanu skrzepłego w stan ciekły pod wpływem gorąca i zwykłego nacisku powietrza, nigdy stanowczo nie dadzą się stopić pod wpływem najwyższej nawet temperatury, jeżeli zmniejszymy znacznie owo jednostkowe ciśnienie atmosferyczne. Ciałem takiem jest właśnie lód. Jeżeli się tedy powiada zwykle, że lód topnieje przy temperaturze 0°, to w powiedzeniu tem milcząco jest wyrażone, iż odbywa się to tajanie jego przy zwykłym na powierzchni ziemi nacisku powietrza.

Eksperymentator jednak za pomocą pompy powietrznej znacznie zmniejszył ciśnienie powietrza tak iż wynosiło ono zaledwie $^1/_{165}$ ciśnienia jednej atmosfery i wystawiony na wpływ jego kawałek lodu dopiero zaczął rozgrzewać. I cóż się pokazało? Oto lód był tak gorący, że nie można go było utrzymać na dłoni, odparował nawet cokolwiek a jednak nie tajał wcale! Nie dość tego — Carnelley eksperymentując w kierunku niejako odwrotnym, dokazał, że gorąca woda w niewielkiej ilości, od razu ścinała się w lód pod wpływem nader małego ciśnienia, nie tracąc przy tem swej temperatury, tj. otrzymał z niej kawałki gorącego lodu. Ten ostatni eksperyment wszakże trudniejszy jest do wykonania niż pierwszy. Świat naukowy właśnie zajmuje się sprawdzeniem nowych tych zdobyczy fizyki, a jeżeli p. Carnelley nie przesadza, to wkrótce amatorowie „gorących lodów“ będą mogli kazać je sobie podawać w cukierniach.

ROZMAITOŚCI.

KLIMAT SZWECJI.

Pomiędzy ciekawemi pracami zamieszczonemi w roczniku *Annales du Bureau-central météorologique de France* za rok 1878, mieści się cenna rozprawa prof. *Hildebrandsson'a* o zamarzaniu i puszczaniu lodów na jeziorach, o okresach wegetacji i wędrówce ptaków w Szwecji, oparta na spostrzeżeniach dokonywanych przez liczne grono obserwatorów, rozsianych po całym kraju. Pracę tę objaśnia diogram wykazujący parowy rozdział temperatury dla dziesięciu najbardziej typowych klimatów w Szwecji i dwanaście kart wyobrażających rozdział geograficzny fizycznych i biologicznych objawów, o które chodzi. Ponieważ jeziora szwedzkie, zajmujące dwunastą część powierzchni całego kraju, wywierają wpływ potężny i różnostronny na życie roślinne i zwierzęce, wedle tego, czy są zamarznięte lub wolne od lodów, przeto szczególną na zbadanie tego wpływu zwrócono uwagę. Rezultaty wykazują, że kiedy jeziora najbardziej na południe kraju położone, pokryte są lodem w ciągu roku średnio przez dni dziewięćdziesiąt, to leżące na krańcowej północy przez dni 230 skute bywają lodami. Średni termin zamarzania jezior na północy jest 10ty października; na południu zaś nie zamarzają one przed 10tym grudnia. Odwrotnie, południowe jeziora puszczają 1go kwietnia, północne w pierwszych tygodniach czerwca. Karpaty wykazują, jak stanowczo linie równociepła wyginają się i zmieniają pod wpływem podobnie znacznych przestworów wód, jak jeziora Wemo Weter i Moelar, pod wpływem wzniesienia nad poziom morza i oceanu Atlantyckiego w różnych porach roku. W czasie zamarzania jezior południowo-zachodnie wiatry wiejące z Atlantyku dochodzą do maximum natężenia i liczby; to też pod wpływem ich, jeziora wysoko wzniesione leżące na zachód od krańca odnogi Botnickiej, nie zamarzają przed 30tym listopada, czyli sześć tygodni później od jezior pod tą samą szerokością położonych w bliskości Haparandy. Przeciwnie za to w epoce wiosennego puszczania lodów dominują wiatry wschodnie i dla tego jeziora blisko krańca odnogi Putnickiej leżące o cztery tygodnie wcześniej uwalniają się od lodów, niż wyżej leżące jeziora zachodnie. Ciekawych spostrzeżeń dokonano nad datą puszczania lodów na jeziorze Moelar, przy Westeros od 1712 do 1871 roku. z porównania średnicy z każdego lat dziesiątka pokazuje się, że najwcześniejszą

datą był 14ty kwietnia w dziesiątku 1722—1731, a najpóźniejszą 5go maja w dziesiątku 1801—1811.

Ponieważ rezultaty z tych 160 lat wykazują znaczne fluktuacje, z tego wnosić wypada, że żadna stała zmiana nie zaszła w klimacie Szwecji przez ciąg dwóch blizko wieków. Trzy karty wykazują czas kwitnienia roślin i rozwijania się liści na drzewach. Rośliny kwitnące w kwietniu na południu kraju, kwitną o 45 dni później na krańcu odnogi Botnickiej, a o 60 dni później w okolicach wzniesionych na zachodzie; kiedy rośliny kwitnące w maju na południu, na północy spóźniają się tylko o 25 i 35 dni. Linie krzywe kwiatów majowych zgadzają się ściśle z liniami wykazującemi datę puszczania lodów na jeziorach. Różnica w rozwoju liści pomiędzy drzewami kwitnącemi w maju, a rosnącemi na południu, i drzewami rosnącemi na północy, wynosi 28 dni; a między drzewami kwitnącemi w kwietniu, 43 dni. Linie wykazujące przylot czterech gatunków z ważniejszych ptaków wędrownych, różnią się wiele od siebie. Skowronek przylatuje na południe 1. marca, na północ 1. maja, a linie jego polotu zgadzają się z liniemi puszczania lodów, ale miesiącem wcześniej. Linie przylotu dzikich gęsi, kukułek i słomek, przybierają kształt rozmaity i wykazują ścisły związek między przylotem ptaków a temperaturą okolicy, do której one przybywają.

NIECO O NOSACH.

Jeden z głębokich myślicieli — nie pamiętamy który i w jakiem dziele — określił nos w następujący sposób:

„Nos jestto wypukłość na środku twarzy, której obecność nie zawsze uważamy, brak jednak której natychmiast rzuca nam się w oczy“...

Inny myśliciel, głębiej jeszcze patrzący na rzeczy, wyrzekł zdanie, któreby może należało ku wiecznej pamięci wyryć złotemi zgłoski w marmurze:

„Stare przysłowie powiada: „my rządzim światem, a nami kobiety“. A wiecie gdzie leży tego przyczyna? W nosie, gdyby bowiem nie on, kobiety nie miałyby za co mężczyzn wodzić“.

Lavater wreszcie twierdzi, że „nos jest indywidualną cechą każdego człowieka“.

Jeżeli co do dwóch pierwszych zdań mamy pewne wątpliwości, mianowicie czy je kto wygłosił przed nami; to za to z zupełną pewnością twierdzić możemy, że Lavater w wykładzie swej fizjognomiki dzieli nosy na trzy kategorje:

a) Nosy, których część dolna przedstawia niejako linję poziomą; w takich nosach łączy się najwięcej dowcipu i piękności z godnością i szlachetnością.

b) Nosy, których linja dolna podnosi się; spotykają się one częściej niż pierwsze, mniej odpowiadają warunkom piękna i mniejszą zwiastują inteligencję.

c) Nosy, których koniec kieruje się ku dołowi; oznaczają one umysły zdolne, lecz skłonne do uszczypliwości i smutku.

Nie przestając na tem, twórca fizjognomiki stawia następujące warunki, którym nos idealnie piękny z punktu widzenia fizjognomicznego odpowiadać winien:

Długość równa wysokości czoła.

Lekkie wklęśnięcie przy zbiegu z czołem.

Grzbiet szeroki i rozszerzający się od połowy długości ku końcowi.

Koniec nosa ani zanadto śpiczasty, ani zbyt szeroki, ani twardy, ani za bardzo mięsisty.

Linja dolna winna być harmonijnie zarysowaną.

Nozdrza, patrząc z przodu, wydatne.

Spód nosa, patrząc z profilu, ma wynosić trzecią część długości całego nosa.

Nozdrza okrągłe i ku przodowi ostro zakończone...

Nie smućcie się jednak łaskawe czytelniczki, jeżeli wasze nosy nie odpowiadają żadnemu z powyższych warunków.

Najpierw Sokrates, jeden z największych umysłów starożytnego świata, miał brzydką i niekształtną nosinę, zadartą do góry, co mu bynajmniej nie przeszkadzało być wielkim.

Powtóre, nie to jest pięknem, co jest pięknem, ale to co się komu podoba i wasze więc nosy mogą znaleść wielbicieli; a wreszcie pocieszcie się, że nos idealnie piękny nadzwyczaj rzadko się zdarza...

Zawsze, nawet najpiękniejszemu czegoś brakuje i tylko dwa nosy, Napoleona I-go i Tycjana, czyniły zadość wszystkim wymaganiom wybrednego Lavatera.

Co do kształtu, o nosach można to samo powiedzieć, co i o liściach na drzewie, że nie ma na świecie dwóch nosów zupełnie podobnych do siebie; nawet dwa powyższe nosy, które odpowiadały wszystkim wymaganiom stawianym dla nosowego ideału, w rzeczywistości były najzupełniej różne.

Ztąd pochodzi, że nauka przyjmuje wielką ilość różnorodnych kształtów, życie zaś codzienne jeszcze więcej.

Słyszymy naprzykład o nosach długich i krótkich, zadartych, ciekawych, obiecujących, orlich, i t. d. i t. d., nie mówiąc już o nosach trunkowych, bankierskich, rejentalnych, tabaczarskich, lisich, i innych.

Tyle o nosach.

Poświęciwszy pierwszą połowę naszego „studjum“ szczęśliwym posiadaczom nosów, chcemy w pozostałej części zająć się biedakami pozbawionymi takowych.

Nie mieć nosa — to, na zasadzie zdań na wstępie przytoczonych, być pozbawionym indywidualnej cechy, zwracać zawsze i wszędzie publiczną uwagę; wprawdzie można się wówczas pocieszać, że nie mają za co wodzić kobiety, lecz ilużby zgodziło się na najcięższe niewolnictwo, byleby tylko odzyskać nos utracony!

Myśl przyprawiania nosów jest bardzo dawną.

Gräfe w znanem dziele p. t. *Rhinoplastik*, wydanem w pierwszej połowie bieżącego stulecia przytacza historję przyprawiania nosów.

Oto kilka szczegółów wyjętych z jego pracy.

Od niepamiętnych czasów żywe nosy, w których się obieg krwi odbywał, przyprawiali bramini, czemu bynajmniej dziwić się nie możemy; w krajach, gdzie obrzynano nosy, sztuka ich przyprawiania była najbardziej potrzebną.

Arabi prawdopodobnie przenieśli tę sztukę do Włoch.

W 1442 r. z pomyślnym skutkiem wykonywa podobną operację pewien sycylijski lekarz, nazwiskiem *Brauca*, który jako tajemnicę przekazał ją swemu potomstwu.

W 1571 roku umiera ostatni z tych potomków i sztuka przyprawiania nosów na czas jakiś ginie!

Dopiero w samym końcu szesnastego wieku lekarz *Tagliacozzo*, w Bononji, z powodzeniem przyprawia żywe nosy swym współobywatelom, nie ukrywając bynajmniej tajemnicą swego wynalazku.

Mimo to jednak nie wielu lekarzy nauczyło się odeń sposobu restaurowania zeszpeconych twarzy i ostani *Moniletti* wykonał tę operację na początku siedmnastego wieku.

Dalsze dzieje sztuki przyprawiania nosów były powtórzeniem zwykłej historji.

Lekarze, nie mogąc dać sobie z nią rady, zaczęli uważać ją za żart i nic więcej; poczęto wyrabiać nosy z jakiejś masy martwej, a fakultet medyczny w Paryżu, po licznych niefortunnych próbach, nie wahał się ogłosić światu, iż sztuka przyprawiania żywych nosów jest bajką.

Mimo to jednak lekarze nie tracą nadziei, iż odkryli sposób znany Brauce, Molinetti'emu i innym.

Głównie pracowali nad tem Anglicy, a później Niemcy, wśród których na pierwszem miejscu należy postawić Gräfe, autora *Rhinoplastiki*, wskrzesiciela sztuki przyprawiania nosów.

Pierwszą próbę dokonał on na młodym człowieku, któremu nos ucięto w bitwie pod Paryżem.

P. Gräfe połączył przy tej próbie operację indyjską, polegającą na ściągnięciu skóry z czoła z włoską, zasadzającą się na przyprawieniu kawałka ciała z ramienia bezpośrednio do korzenia nosowego.

Zagojenie przy takiej operacji następuje w przeciągu 4—6 tygodni bez blizny na czole.

W *Rhinoplastice* znajdujemy opis trzech podobnych operacyj wraz z rysunkami.

Dawniej przypuszczano, że nosy w ten sposób przyprawne martwieją na zimnie, lecz przypuszczenie to okazało się całkiem fałszywem, i dziś szczęśliwa ludzkość może się cieszyć, że straciwszy jeden nos, z ramienia inny posiędzie.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 49. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.